

29.2.2.30.

STYCZEN ZESZYT I

Wielki  
No.  
BIBLIOTEKA

# ZDROJ



*Dwutygodnik ilustrowany  
poświęcony Sztuce i Kulturze*

# ZDRÓJ

## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.  
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.

Prenumerata roczna (na pocztie) — 40 marek, półroczna — 20 marek, kwartalna — 10 marek  
Zeszyt pojedynczy 3 marki. — Przesyłka pod opaską 15 fen. za zeszyt

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — Odpowiedzi na listy za nadesłaniem marki pocztowej. — Rękopisy bez nazwiska autora i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — —  
Redakcja nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.



Wykwintną brylantową biżuterję, znakomite zegarki

poleca

W. SCHULTZ W POZNANIU

—: Nowa ul. 8., w Bazarze. — Tel. 1484. — Rok założ. 1873. —:—



## „Westa“

Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie

Rok założenia  
1873

W Poznaniu

Rok założenia  
1873

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia  
na **dożycie**, na **wypadek śmierci**, na  
**posag** z rewizją lekarską i bez rewizyi

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie  
— od spłaty składek i płatność renty —

**Nizkie składki**

**wzrastające dywidendy**

**dogodne warunki**

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się  
i w czasie wojny

Siedziba dyrekcji w Poznaniu  
w własnym gmachu św. Marcin 61

Oddział w Warszawie: Aleje Jerozolimskie 31  
Agencje specjalne w każdym większym mieście.



załatwia z członkami wszelkie interesa bankierskie.  
**Pożyczki** na przystępnych i dogodnych warunkach.  
**Papier wartościowe** jako pewna i korzystna lokacja  
kapitałów.  
**Rachunki czekowe** z wielkimi dogodnościami dla wpłat  
i wypłat.  
**Udziały członków** przynoszą 8 procent dywidendy.  
**Wkłady i oszczędności** oprocentowuje od dnia złożenia  
pieniędzy po 3, 4 i 4½ procent.

ADRES:

**BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalza).**

ZDRŮJ

7



TOM I. STYCZEŃ — MARZEC 1918.



P. 22.284

REDAKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY: JERZY HULEWICZ.  
ODBITO W TŁOCZNI „PRACY” W POZNANIU.

# ZDRÓJ

ROK 2

1918

STYCZEŃ

ZESZYT 1

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE  
I KULTURZE UMYŚLOWEJ

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Obrachunki — Stanisław Przybyszewski (Inicjał Jerzego Hulewicza, winieta Władysława Jarockiego). Więzień — Stanisław Kubicki (przyzodobił Stanisław Kubicki). Preludium — Kazimierz Luczewski. U poetów — Miriam (przyzodobił Jerzy Hulewicz). Opowieść rybaka (powieść — C. D.) — Wacław Berent (przyzodobił Jerzy Hulewicz). Sen nocy jesiennej — Teodor Tyc. Ogrodnik — Rabindranath Tagore — spolszczył Jan Kasprowicz (przyzodobił Jerzy Hulewicz). Kościuszko w świetle mesyanizmu polskiego — Józef Komenda. Miscellanea.

## OBRACHUNKI

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI



wszystkich odpowiedzi na odwieczne pytanie: „Czem jest sztuka?” najtreściwszą i najwięcej do prawdy zbliżoną wydaje mi się być ta, że sztuka jest niczem więcej, jak SAMOOBJAWIENIEM Człowieka.

Nie mamy prawie wyobrażenia o Człowieku, bośmy go wyrwali z całej tej przeolbrzymiej sfery, w jakiej on w całej swej PEŁNI żyje — znamy go zaledwie tak, jak znał Człowiek starożytności, lub średniowiecza oną „tarczą” ziemską, na której mapie wpisywał bezustannie: „terra incognita” lub co najwyżej: „Hic sunt leones” — to znaczy, że nawet ta tarcza, pojemna dla moich zmysłów, którą „człowiekiem” nazywam, jest mało co zbadana i pełno w niej tych miejsc, oznaczonych napisami „terra incognita”, dzięki zakazom tysięcy nych praw kościelnych i społecznych, które nie pozwalają na badania tych niebezpiecznych krain w doświadczalnym człowieku.

Ale człowiek starożytności i średniowiecza wyobrażał sobie tę tarczą oblaną nieznanymi, tajemniczymi wodami Okeanosu, i takąż tę doświadczalną, ale jeszcze niezbadaną tarczą, którą „człowiekiem” nazywamy, opływa ten mityczny, zaledwie przeczulawy Okeanos: bez niego człowiek pomyśleć się nie da, a wyrwany z tej tajemniczej sfery, tego „mare tenebrarum”, staje się niczem więcej, jak ostatniem ogniwem Darwinowskiej ewolucji, rodzajem, nazwanym w systematyce zoologicznej „Homo sapiens”, czyli Nad-Małpa.

W spektrum istnieją poza znanymi, widzialnymi promieniami niewidzialne ultra—purpurowe i ultra—fioletowe, pod których działaniem dokonują się przypuszczalnie najwięcej tajemnicze procesy życiowe. I wokół duszy człowieka rozlewa się tajemniczy Okeanos ultra—fioletu i ultra—czerwieni, nie znany, zaledwie przeczulawy, ale to właśnie obręb, w którym człowiek istotnie żyje, weń jest głęboko wkorzeniony, a, z niego wyrwany, staje się martwym manekinem, literacką bibułą, potworną karykaturą, składającą się z paragrafów, norm i praw.

To, co człowieka od zwierzęcia odróżnia, to właśnie i jedynie to, że dla zwierzęcia życie samo jako takie wystarcza i jest mu celem samo dla siebie — a człowiek, chociażby i w najprymitywniejszym stanie, ma głuche poczucie, że obręb życia, w którym doświadczalnie żyje, jest tylko złudą — że po za tem życiem zmysłów rozciąga się świadomością nieobjęta, olbrzymia przestrzeń istotnego życia — to sfera tego mitycznego „Okeanosu”, bez którego Grek sobie ziemi pomyśleć nie mógł — sfera „astralnego Ciała”, w jakim nowoczesny okultysta człowieka widzi, „pleromą” Gnozy, czyli „Pełni Ojcowskiego Łona” według Słowackiego, w której człowiek żył jak PEŁŃ, zaczętem na świat widomy zstąpił, to „noeton” Platona: świat idei, świat architypów, których nędznymi odbiciami są zjawiska zmysłowe — sfera „nagiej duszy”, to znaczy duszy, która



jest Teraźniejszością nieskończonych bytów przed moim Bytem i wytęsknionych bytów poza moim własnym.

Zwierzę nie zna „przeszłości“. Zna ją w głuchem przecuciu człowiek, który mimo wszystkich analogii, łączących go z zwierzęciem, wierzy, że jest czemś, co mieszcząc cały ogrom bytu zwierzęcego, stanowi nadwartość tego uniwersalnego bytu i tem samym poza niego wybiega.

Zwierzę nie zna „przyszłości“, a w tę właśnie „przyszłość“ człowiek bezustannie wzrasta, pragnie ją przeniknąć — w to życie poza życiem zwierzęcia ustawicznie się wkłada, bo wie, że w niem spoczywają wszystkie skarby najtajniejszych tajemnic.

A może i dla człowieka pozostałoby życie celem samym dla siebie, a tęsknota jego wzwyż ponad zwierzę; poczucie i niejasna świadomość tej mocy, którą poza zwierzę wybiega, pozostałoby jałowem i bezplodnem, gdyby i ta tęsknota i ta świadomość nie uzyskała w pewnych jednostkach siły objawienia się na zewnątrz, którą nazywamy siłą twórczą. A te jednostki, w których ta siła się przejawia, to ogniwa, łączące ziemię z niebem, to rewelatorowie, zesłańcy Boga — twórcy...

W nich żywsze i gorętsze wspomnienie jakiegoś innego Bytu, jaśniejsze przeświadczenie istnienia jakiejś tajemniczej piękności, przeobrzymich ogromów, nieobjętych potęg, dla których żadne analogie w tem tu życiu nie istnieją, w nich rodzą się pytania, które ich dusze poprzez brzegi przelewają, a na które Rozum żadnych odpowiedzi dać nie może, w nich nabiera tęsknota — ta kolebka i grób bytu ludzkiego — tej na d-ludzkiej mocy, że się w kształty przyobleka i z burzą żywiołów w zawody grzmi i zwolna urasta do tej potęgi, że zdoła twarzą w twarz Pra-Początkowi spojrzeć!

Ale daleka to droga, zaczem ten ostateczny cel człowiek-twórca osiągnąć zdoła.

Próżno się silił rozwiązać zagadki, które jego mózg szarpia, próżno zmagal swój rozum w najrozpaczliwszą pracę, by tylko choć jedną odpowiedź na tysiące pytań otrzymać — mózg okazuje się bezsilny i niedołężny: wokół nieprzebyte mury, coraz grubsze w miarę, jak je chce swoim rozumem rozbić — coraz więcej się ścieniające, w miarę, jakby je rozszerzyć pragnął.

I nadchodzi chwila, w której z strasznym lękiem i przerażeniem widzi, że jest więzieniem.

Wie, nieomylną przecuciową wiarą wie, że po zatem więzieniem swoich zmysłów — piekielnych, katowskich stróżów jego wolności — istnieje jakaś bezbrzeżna, niewysłowiona piękność, ogrom wszechmocnych, nieobjętych potęg — szarpie żelaznymi kratami wiewienia, by się uwolnić, wydostać się w to bezbrzeżne, wiekuistem Pięknem kwitnące państwo, które jest przeciw jego własnością, a które utracił — przez „grzech pierworodny“ poucza go kościół, przez pychę i bunt, by się z Bogiem zrównać.

I zropaczony, szarpiany męczeńskim ogniem tęsknoty, zamyka oczy i w korowodach nadobłocznych wizji widzi czarowne obrazy i raje nie z tego świata, słyszy melodie i dźwięki, o jakich ludzkie ucho nie śniło, roztopy barw widzi, od jakich oko ludzkie ślepnie.

Nieraz już dawniej w skupionych chwilach życia ucuwał, że wszystko to, co w tem życiu przeżywa, dawno był już kiedyś przeżył, tylko w całkiem innym blasku, innej głębi błogości i całkiem innej potędze odczuwać — że układ barw, myśli, kształt całej koronki życia przypomina mu jak przez mgłę, jak w zamąconym zmrroku coś, co już był kiedyś widział, tylko w całkiem innej jasności i nieporównanie spotęgowanem pięknie i w stokroć wzmóŜonem bogactwie wzorzystości, ale nigdy nie przeżywał tego wrażenia w takiej absolutnej pewności tych przedbytowych istnień, jak teraz, w tej niepojętej chwili, w której już — już przekracza więzienne progi — w której mury się przed nim rozstępują: wbiega na świetlista, rajską polanę swego państwa, które na nowo w posiadanie bierze i raj utracony odzyskuje.

Człowiek wkracza w pozabytową sferę „Okeanosu.“

I w tej błogodawionej chwili — NATCHNIENIEM ją nazwał — zdaje się człowiek głuchym i ślepy na wszelkie „zewnątrz“, nie dochodzi go już gwar, kłótnia, rozterka, śmiech i wrzawa ulicy,

światło nie mąci mu dnia jego duszy. On wsłuchuje się w siebie: formy i kształty tego świata, w którym żyje, rozlewają się i rozczłonkują: on z nich nowe związki tworzy i nowe światy, przesycone blaskiem i rozżagwiczne żarzewiem innych słońc, jak te, które się nad „sprawiedliwymi i grzesznymi“ wznoszą. I budzą się w nim nigdy nie widziane obrazy, kojarzą się rzeczy, wyzwolone z pod dozoru „rozum“, w całkiem inne związki: dźwięk się z barwą łączy, woń wywołuje poznanie, dotyk świetlane wizje: wszystko naokół zdaje się całkiem innym prawom delegać, jak tym, któremi je mózg okleszczył i wreszcie nadchodzi apogeum tej chwili, w której Rozum — Mózg staje się tylko bezsilnym, niemy widzem i przypatruje się zdumiony niepojętej jakiejś tajemniczej pracy, która się gdzieś w przepastnych głębinach duszy ludzkiej odbywa.

Ta twórcza praca, dokonywana w natężeniu, jest właśnie tem szukaniem pełni swego życia w sobie samym, w przeświadczeniu, że poza bytem zmysłowym istnieje jeszcze inny świat, zmysłami nieograniczony, rozumowi niedostępny, widny atoli w całej swej piękności odsłaniający się dla innego ponadrozumowego narzędzia:

#### INTUICYI.

„Czuciem“ nazywali ją nasi wielcy romantycy, jako głos „wewnętrzny“ odczuwał już ją Sokrates, ten organ wyższego poznania, osiąganego w natężeniu, którą jest czystą i bezpośrednią emanacją złożonych w duszy ludzkiej przedbytowych wiekuiestych prawd, a to Czucie wiąże się z Uczuciem w formie rozplomienia się człowieka w twórczej EKSTAZIE.

Intuicya wydaje mi się być pamięcią moich w bezustanych wcieleniach się przeżytych bytów przed moim obecnym bytem — pamięcią, która li tylko w pewnym stanie „natężenia“ nazwanym, się odzywa: pamięć doznanych już kiedyś przeżyć duchowych, które, przebywając w głębiach Nieświadomego, odnalazły w tem morzu ciemności swoją naturę przedmyślową, to znaczy piękności archotypów „idei“, — Platona — i z tą nową żywotną siłą wdzierają się w obręb „świadomego życia. Intuicya budzi z wiekuiestego snu spoczywające na dnie duszy nagromadzone tam skarby idei, które przeżywałem w innych bytach, a przedtem jeszcze w łonie Boga, i w intuicyi wyłaniają się one nagle w mojej świadomości jako

#### OBJAWIENIA.

Istnieniu intuicyi, organowi poznania, którego zgęszczeniem ordynarną prawie hypostazą jest rozum, mamy do zawdzięczenia pojęcia świata pozazmysłowego: olbrzymiego oceanu Podświadomego, całej tej Nierozpoznawalności — dla mózgu.

Świat, ogarnięty rozumem, jest ciasny i ograniczony — świat zaś, w który jednostki, obdarzone wyższym narzędziem poznania — intuicyą — wtargnęły i coraz szerzej go rozświetlają — jest bezkresny.

Dla rozumu świat zjawisk jest jedyną „rzeczywistością“ — dla intuicyi niczem więcej, jak tylko omamą. Dla rozumu jest to, co dla niego „rzeczywiste“, równocześnie „istotne“ — dla wyższego intuicyjnego poznania, li tylko złuda, bo istotność jest dla mózgu nierozpoznawalna.

I tak więc człowiek, którego znamy, jest tylko niejako ucieleśnieniem drobnuteńkiej cząsteczki jakiegoś oceanicznego ogromu, w którego bezkresne obszary wkraczamy intuicyą, i do już uświadomionego obrębu przylączamy to, co intuicyą zdobywamy.

To znaczy, że za pomocą intuicyi dokonuje się w człowieku rodzaj objawienia nieznanych mu obszarów własnej jego duszy — a objawieniem zewnętrznym tej pracy intuicyjnej, to jest to wszystko, co w ograniczonym pojęciu nazywamy Sztuką, bo w równej mierze samoobjawieniem człowieka i przekroczeniem granic rozumowego poznania są wszelkie idealistyczne koncepcje filozoficzne: IDEA, SŁOWO, PALINGENEZA, EWOLUCYONIZM, które w istocie samej tkwią korzeniami swemi w

MISTYCE, to znaczy: w intuicyjnym poznaniu.

W równej mierze są samoobjawieniem życia bezkresnego Ducha człowieka olbrzymie ODKRYCIA (proszę się zastanowić nad znaczeniem tego słowa) Kopernika, lub Newtona, Keplera lub Lavoisiera, jak samoobjawienia w dziedzinie ducha, któremi są wszelkie „organiczne projekcje“ w dziedzinie fizjologicznego ustroju mego organizmu materialnego, czyli wszelkie WYNALAZKI (znowuż proszę zastanowić się nad znaczeniem tego słowa):



Klasyk i najwięcej znany przykład organicznej projekcji: „camera obscura“, na które człowiek „a posteriori“ nauczył się poznawać fizjologiczną funkcję swego oka, jest tak samo „objawieniem“ nieznanymi mi potęg i sił, które są w moim organizmie ukryte, a których nie znam i rozporządzać nimi nie umiem, zaczęłam ich znaczenia w intuicji nie poznam, — jak jest niem projekcja psychiczna nieznanymi mi prawd i potęg, ukrytych na dnie mej duszy w najgłębszych ciemnościach: wszelki twór duchowy, czy to ściśle artystyczny, czy też filozoficzny lub naukowy.

Pomiędzy temi trzema, przez nas rozróżnianymi rodzajami samoobjawień człowieka w człowieku, nie zachodzi w gruncie rzeczy żadna różnica: każdy istotny twór artystyczny ma myślowy podkład mistyczny, a tkwi w światopoglądzie, jaki Nauka-Objawienie wytwarza.

A pomiędzy samoobjawieniem nieznanymi mi sił mego organizmu w „organicznej projekcji“, jaką znajdujemy w każdym „wynalazku“, a między „projekcją psychiczną“ nieznanymi mi również potęg duszy w „objawieniach“ Sztuki i Poznania, w „odkryciach“ nauki, ta tylko zachodzi różnica, że „wynalazek“ służy dla „pożytku“, a „psychiczne projekcje“ „pożytkowi“ nie podlegają, boć źródło, z którego i „organiczna“ i „psychiczna“ projekcja pochodzi, jest to samo: INTUICYJA!

To wszystko „mystyka“! powiecie. Widzę już wzgardliwe wzruszenie ramion i pobłażliwe uśmiechy. Ale trzeba raz wreszcie sobie uprzytomnić, czym jest MISTYKA.

Otóż to jedno trzeba mieć na uwadze, że granice między Metafizyką, ostatnim kresem, do którego Rozum sięga, a Mistyką, która poprzez te szranki przedrzeć się usiłuje, zupełnie nie są odgraniczone: przeciwnie bezustannie się zacierają i z sobą się zlewają.

Mistyka jest niczem innym, jak tylko hardą, zuchwałą odwagą, z jaką człowiek kraty swego więzienia, na którego straż Rozum stoi, wyrwa i na wolność pozazmysłową wydobyć się pragnie i istotnie się wydobywa w religii, o ile ona na gwałt nie wyzbywa się mistycznych pierwiastków — wydobywa się w Sztuce, o ile jest ona istotnie „widzącą wiarą.“ Pojęcie Sztuki jako samoobjawienie uzupełnia nawet jej pojęcie jako „uzmysłowienie widzącej wiary“: wizje, otrzymywane w twórczej ekstazie, którą nazwalibyśmy uczuciową formą intuicji, są nierównie istotniejszą rzeczywistością, niźeli ta, którą rozumem „na jawie“ żyjemy.

„Wierzę, bom widział!“ mówi artysta. I to samo mówi mistyk — tylko widzenie to dokonuje się za pomocą wyższego, szlachetniejszego organu, jakim jest rozum przez intuicję.

I niema słowa, a raczej pojęcia, przeciw któremu mózgu ludzki zwracałby się z większą nienawiścią i niewiędą: więcej go się lękał, czy też niem pomiałał, jak pojęcie mistyki.

A fakt ten jest tem więcej zdumiewający, że człowiek ma bezustannie do czynienia z pojęciami, które przeciw rozumem nie są do objęcia, a nawet całkowicie poza granicami jego poznania leżą: w słowach nawet najubożniejszego prostaczka w duchu pojawiają się rzeczy, całkiem dla Rozumu niepojęte, jak „Trójca Święta“, jak „Słowo“, które się „Ciałem“ stało — niepokalane Poczęcie, „Światłość wiekuista“ — wszystko rzeczy, wobec których kompetencja Rozumu jest wprost urojeniem obłąkańca, który się wszechwiedzą być mniema.

Jakieś niepojęte lenistwo ducha, mała próżność i pyszałkowatość tych biednych pięciu zmysłów, któremi człowiek do życia się przystosowuje, naiwne i śmieszne złudzenie, że rzeczy, które słowem oznacza, są przez to samo w ich istocie wyrażone, stoją na przeszkodzie mózgowi ludzkiemu do istotnego Poznania. Gdyby człowiek zdobył się — jeżeli już nie chce wkraść na ciężką i trudną drogę tegoż Poznania, na tę odwagę, by mógł określić czynność swego rozumu pokornem: „To jedno wiem, że nic nie wiem!“ — ale gdzież tam!

Potęga jego biednego mózgu jest nieograniczona: wszystkie najwięcej tajemnicze zagadnienia są dla niego rozwiąalne, jeżeli jeszcze rozwiązane nie zostały, to niechybnie to niebawem nastąpi.

I dziwnie pokorna jest wobec rozumu — mistyka: wiedza intuicji. Mogłaby całkiem innym prawem nazwać uroszczenia rozumu obłądem, chorem maniaczkiem, jak to czyni rozum, gdy się z mistyką zetknie, lecz przeciwnie: mistyka uznaje jak najzupełniej potęgę rozumu w tem malutkiem kółeczku, w którym się człowiek kręci od „urodzenia, aż do śmierci“, to znaczy

od chwili, kiedy człowiek przyjdzie na świat, aż do chwili, w której go opuszcza, i całkiem od niego nie wymaga, aby pojął bez śmiechu i szyderstw, że już istniałem przed moimi narodzinami, że już raz byłem w innym byciu i teraz znowu do niego powracam, a kiedy mi jedni — ateusze — przy mej trumnie zaśpiewają: post mortem nihil — drudzy zaś wierzący — pocieszać będą, że się dopiero na dolinie Józefata spotkamy — to przecież zrozumieć można, że ośmielam się twierdzić, iż wędrownka moja śmiercią moją nie zakończona — śmierć jest tylko przejściem do nowego wcielenia się w nieskończonym szeregu żywotów — że dusza moja przez inkarnację w coraz to wyższych żywotach tak długo doskonalić się będzie, dopóki nie będzie godną złać się z Bogiem, z którego wyszła.

To samoobjawienie ukrytej i najgłębszej prawdy, złożonej na dnie duszy człowieka, nazwano PALINGENEZĄ: objawienie, któremu ludzkość zawdzięcza może najpotężniejszy poemat, jakim się szczyścić może: KRÓL-DUCH Słowackiego.

Na tych to przesłankach oparte jest pojęcie OBJAWIENIA. Jak pojęcie nieśmiertelności duszy jest w duchu coraz wyższego doskonalenia się niemożliwym bez przyjęcia palingenezy, staje się „objawienie“ jałowym terminem, jeżeli nie przyjmujemy pojęcia Duszy, jako potęgi osobistej, kroczącej od jednego krańca wieczności (poczęta jest w Bogu) do drugiego (bo z Bogiem znowu złać się usiłuje), — duszy, która raz po raz nieznaną siłą zmuszona, idzie na ziemię, wraca z powrotem na łono wieczności i znowu się ucieleśnia, bogatsza, doskonalsza, więcej uświadomiona, niż pierwszym razem. I tak bez końca, aż wreszcie dochodzi do świadomości całej swej Pełni i wszystkich jej potęg, przenika najtajniejsze rzeczy, obejmuje najodległe i najszybsze związki, to znaczy staje się:

#### GENIUSZEM.

Im częściej odbywa się ta inkarnacja duszy mej w moim przedbytowem życiu, tem bogatsze i donośniejsze będzie objawienie, gorętszą i prawdziwszą REWELACYA utajonych rzeczy.

I temi objawieniami, to znaczy przeogromnem bogactwem PEŁNI duszy ludzkiej, dostępnej dla twórczej intuicji, karmi się mózg ludzki, niemi tylko żyje: bez nich ani na krok nie wyszedłby poza byt zwierzęcy.

Ale „wraży żołądek tłumu“, jakby Kasprowicz powiedział, objawienie, jako takie, nic nie obchodzi: on z niego wysysa żarłocznie to tylko, co mu „pożytek“ przynosi, co go wzdyma i tuczy.

Zmonopolizował dziedzinę „organicznej projekcji“, zużywa każdy „wynalazek“, który mu natychmiastową korzyść przynosi, a gardzi każdym, z którego na razie żadnego pożytku nie ma. Bo mózg tłumu jest ciasny i ograniczony. Wykpiwa i niszczy najpotężniejsze twórcze intuicje nawet w obrębie „organicznej projekcji“, o ile mu natychmiastowych korzyści nie przyniosą, a każdy „wynalazek“ musi sobie w krwawym znoju drogę torować, zaczem mózg ludzki doniosłość jego pojmie. Chyba aż nadto dobrze znane tragiczne losy „wynalazców.“ Bo krótkowzroczny, tchórzliwy i piekielnie gnuśny jest mózg ludzki — ale nad wszelką miarę żarłoczny i chciwy pożytku. Jeżeli stanie wobec jakiegoś objawienia, obślinia je swoją chciwością, gniecie niechlujną łapą, żali z niego nie wyciśnie parę kropel dla swego niesytego brzucha, a jeżeli już nie zdoła, z pogardą odrzuca.

Z najpotężniejszych objawień duszy proroków i „synów Słowa“ stworzył sobie dogmaty, które zapewniają mu osobiste bezpieczeństwo tu na ziemi, a wygodną ubicację w przyszłem życiu, wysnuł z nich jak najwygodniejsze pojęcia Dobra i Zła, grzechu i cnoty, stworzył przykazania, regulujące przedewszystkiem „Własność“, — nazwał to religią — a o resztę się już nie troszczył. Nazwał to „mystyką“, wypuł jako nieużytek — zbyt natarczywych proroków, niewygodnych i natrętnych wieści o objawionej Prawdy krzyżował, lub na stosach palił.

Człowiek, ośmielony powodzeniem pożytkowem, jakiego doznał przy eksploatacji „projekcji organicznej“, która pierwotnie była bezcelowa, jak wszelkie inne objawienie, zabrał się do „projekcji psychicznej“ i na gwałt domagał się od niej tegoż samego pożytku, jaki mu ta pierwsza dawała i daje.

Zaczął zatem szukać w Sztuce — ograniczamy się teraz wyłącznie do Sztuki — celu i pożytku — przyzwyczaił się przecież do tej niezłomnej wiary, że i cały twór Boski specjalnie dla jego przyjemności stworzył: kwiaty, by je mógł wachać, zwierzęta, by mu za pokarm służyły i t. d. i t. d. I to naiwne pojęcie starał się człowiek, który mało co nad małpę wyrósł, rozciągnąć i na objawienie, jakim jest Sztuka. Zaczął pytać o to, jakie korzyści mu sztuka przynosi, jakie ma cele i jaki sens.

Przecież i życie całe ma jakiś sens i cel, a przedewszystkiem ten, by Boga miłować, go uwielbiać, dostać się po śmierci na jego łono, lub też konać w męczarniach ognia piekielnego po przez całą wieczność. I to bezgranicznie naiwne ujęcie celu i sensu tego, co istnieje, to barbarzyńskie wartościowanie tego, co jest miarą korzyści i pożytku, jakie człowiek z niego odnosi, wywołało ten niesłychany zamęt w pojęciach o Sztuce.

A przecież Sztuka jest całkiem tem samym, czem jest słońce, które nie na to chyba istnieje, by człowieka ogrzewać, jest tem samym, czem jest drzewo, które nie na to chyba rośnie, by człowiek mógł się w jego cieniu wylegiwać i owoce jego zjadać — i tak, jak natura jest sama w sobie celem, tak i Sztuka, niezależnie od tego, czy nam pomaga, lub szkodzi, czy jest dla nas sympatyczną lub wstrętną, „umoralnia“ nas, czy też „jad zepsucia“ w nas saczy. Och ten słynny „jad zepsucia“

„L'art, c'est l'art!“ Stary Béranger huknął przytem pięścią w stół, oburzony, że się go ktoś o cele Sztuki pytał i trafił tem powiedzeniem w samo sedno.

Tu słyszę oburzony okrzyk:

Co za bezsens! Jakżeż można równać naturę ze sztuką! Natura powstała bez udziału człowieka, Sztukę atoli wytwarza człowiek — człowiek zaś żyje w społeczeństwie, a więc Sztuka powstaje w społeczeństwie, musi mieć zatem cele społeczne, ustrojowi społeczeństwa odpowiadające i najpomysłniejszemu jego rozwojowi podatne.

Otóż argumentacya z gruntu fałszywa!

Człowiek Sztuki nie tworzy, ani tworzyć nie może, bo wtedy mógłby każdy, gdyby tylko „zechciał“, być twórcą. Można by się wtedy „Sztuki“ nauczyć, jak każdego innego rzemiosła.

Sztuka jest czemś, co się przez poszczególne jednostki mimo ich „woli“ i częstokroć mimo jakiegokolwiek uświadomienia z ich strony na zewnątrz objawia. Przecież bezustannie pytamy się zdumieni: „skąd mu się to bierze?“ a na to pytanie artysta odpowiedzi nie ma. Czemu jest to „coś“ i to „skąd“ nie wiemy i rzadko który artysta to sobie uświadamia — istota Sztuki dla nas nieznaną. Wiem tylko, że to „coś“ i jego źródło: to „skąd“ istnieje, jako objaw zewnętrzny ukrytych w człowieku potęg psychicznych, całkiem dla mózgu nieznanych, dla naszego badania rozumowego nieprzystępnych, istnieje jako objawienie człowieka w człowieku, to znaczy człowieka poza jego zmysłami, objawienie jakiegoś ukrytego „Ja“, które mniemam być przynależnem do mojego „Ja“, którem żyję, ale i o tem z pewnością nic wiedzieć nie mogę: mówimy przecież, że obca siła — Duch Święty — człowieka natchnieniem nawiedza i tworząca łaską na niego spływa.

A chcieć to objawienie wtłoczyć w jarzmo ciasnych pojęć naszych śmiesznych celów, jest co najmniej absurdem. Jakie to „coś“ — ta obca siła, ujawniająca się w człowieku, rozkazująca mu tworzyć, ma „cele“ — o rozwiązanie tej więcej niż transcendentalnej zagadki może się kusić jakaś naiwna Theodiceja, która się stara Boga uniewinnić, że obok Dobra stworzył Zło.

I osobniki te, przez które ona niepojęta siła twórcza w Sztuce się objawia, nie są wytworem społeczeństwa: całkiem na odwrót!

Spółczeństwo jest wytworem twórcy: jego objawieniem żyje i jemu jedynie zawdzięcza całą swoją kulturę i cywilizacyę.

I nowy krzyk oburzenia słyszę:

Jakto? Przecież to nasza ziemia, nasze społeczeństwo twórcę wydało!

Nasza ziemia! Bez wątpienia! Na tę „naszą“ ziemię wróciła dusza jakiegoś, łaską Bożą nawiedzonego osobnika, i ten stworzył ziemię. On to wlał w jej bezduszne kształty tę olbrzymią piękność, jaką z sobą z jakiegoś innego Bytu na tę ziemię przyniósł — on rozpalil swoją miłością martwe, rozległe równiny i stepy, że przed zdumionemi oczyma rozlśniły się nagle

niepojętą pięknoscia, on ożywił swoim nieśmiertelnym duchem skamieniałe góry i odział je tym majestatem, przed którym się teraz korzycie, on wlał tajemniczy czar swej własnej duszy w jeziora i rzeki, stawy i strumyki, on rozhoworzył nasze lasy w tę tajemną uroczystą pieśń, której niezgłębionych cudów nasłuchujecie, on nauczył Was patrzeć swojemi oczyma, pa-trzyć na tę ziemię, którąście wieki całe orali, rozgrzebywali, wszelkiego rodzaju korzyści z niej ssali, jako na wielką pięknosc — dojną krową była przedtem dla Was ta ziemia — a on nauczył Was ją kochać!

A teraz widzę Was, bijących się w piersi z ciężkiem oburzeniem:

Myśmy wytworzyli Kochanowskich, Mickiewiczów, Wyspiańskich, Kasprovczów!

O! bolesna i dziecinna, naiwna złudo!

Przecież to oni Was stworzyli! Oni to z chaosu wyłowili jedność, rozbieżność złączyli w harmonię — potęgą przez ukryte moce w nich objawioną, a może nawet im samym nieświa-domą, stopili pojedyncze rody, klany, szczepy, klasy w jeden naród i oni nadali społeczeństwu to przynajświętsze prawo, mocą którego istnieje:

Miłość Ojczyzny!

Badajcież każdą myśl, którą żyjecie, nicujcie uczciwie każde uczucie, jakim serce wasze tętni, rozpatrujcie każde pojęcie, które stało się już dla Was zdawkową monetą, a wszędzie i zawsze przekonacie się, że życie tylko okruchami Objawień, które w Sztuce Wam się w udziale dostały, której wszystko zawdzięczacie — nawet te ubrania, którem się odziewacie, świątynię, w której się o „chleb powszedni“ módlicie — zwykle o nic więcej — taniec, w którym na chwilę w rozkoszny stan wpadacie, każący Wam zapomnieć o smutkach życia, muzykę, chociażby naj-prymitywniejszą, która Wam pozwalała przy banalnych dźwiękach mazurka golemi pięściami zdo-bywać armaty Moskali!

A więc:

Spółczesność nie ma prawa narzucać twórcy swoich celów — nie ma prawa wymagać od niego, by dostosowywał się do tego, co mu na razie jest pożytecznym i korzyść mu przynosi:

Spółczesność raz wreszcie powinno uznać objawieniowy charakter Sztuki i kornie przyznać się do bezwstydu, z jakim dotychczas od Objawienia wymagało, by tylko w kie-runku jego maluszkich celów miało pracować i mu „korzyści“ przynosić...

(DOK. N.)



## WIĘZIEN

Ciała obdarzony udręką,  
 bólem żrącym zamknięcia samotnego,  
 więzień  
 skrycie, bezustannie posowę wiercę i ściany,  
 oczy biegają tchórzliwe  
 i ucho kroki łowi dozorczy w długim korytarzu.  
 Tłumiony wre rokosz.  
 Myśl kwasem żre mury  
 (świerzb bolesny, że płaczę podlec).



A wieczorem pięścią krwawą walę w ścianę  
 po marną odpowiedź z komórki ościennej.  
 (Nocą gmach cały stoi w spazmach pukań głuchych).  
 Gryzę wtedy łańcuch i kratę przed oknem —  
 uderzam w niskie niebo celi murowanej —  
 (głupi myślę: „zastukam w niebo“ i Boga przerażę).  
 A!

Marny tarzam się przed Tobą  
 w ciała kałuży;  
 w głębi wstydy przypomnienie!  
 na wschód się wybierałeś słońcu — — —

STANISŁAW KUBICKI

# PRELUDIUM.

Pismo nasze, mówiąc programowo, pragnie być terenem, na którym wypowiadają się ci wszyscy, którzy nie uważają sztuki za zabawę, lecz za pracę, i którzy, nie służąc żadnemu stronnictwu estetycznemu, dopuszczają możliwość i uznają nawet konieczność rozbioru krytycznego całokształtu z sztuką związanych spraw.

Poważnej pracy twórczej, z jakiegokolwiek bądź dziedziny cywilizacji, winna towarzyszyć refleksja krytyczno-filozoficzna, wychodząca poza przygodne gawędzenie o mniej lub więcej modnych ciekawostkach a omijająca, z grzecznym uśmiechem na ustach, dostojną ścieżynę zawodowych subtelnosci. Trzeba nam, jeżeli sztuka nie ma kwitnąć w ogródku duszy naszej równie samowolnie i bezwiednie, jak wszystkie prawie nasze dzienne sprawy, przeświecić myślą twory natchnienia i uprzytomnić sobie ich genezę i znaczenie.

A zaprowadzi nas to dalej, niż się na razie przypuszcza. Odpowiedź na zagadnienie powyższe zmusi nas bowiem do rzucenia okiem na graniczące z estetyką, by użyć sakramentalnego wyrazu, dziedziny myśli filozoficznej, to znaczy na całość zagadnień filozoficznych, gdyż niema filozofii bez systemu — tylko ostrożnie, bawiący się własną anemią duchową, trzymają się kurczowo dogmatu myślenia wyspecjalizowanego i pozbawionego kości pacierzowej jednolitego na świat spojrzenia.

Inaczej mówiąc, zawadziwszy, nieco mimochodem, o sferę estetyki, musimy poddać się wynikom takiego spotkania i dążyć, każdy na własną rękę, do pokonania myślowego problemów filozoficznych. Pismo nasze zatem nie stanie się wprawdzie organem filozoficznym, lecz siłą założeń, z których wyrasta, dochodzić będzie coraz częściej i, daj Boże, gruntowniej do poważnego i swobodnego traktowania tych spraw, które pozostawiamy zazwyczaj wspaniałomyślnie specjalistom i teologom.

Nie będziemy przytem liczyć na pomoc uznanych już powag i wyczekiwać ich orzeczeń — oglądanie się poza siebie świadczy zawsze o braku własnego credo i o pobożnych życzeniach — przeciwnie postaramy się dać okazję przemówienia siłom młodym i niezuczytym jeszcze. Czy będziemy błędzić? — Oczywiście! Byłoby to straszne i zabójcze dla czytelników, gdybyśmy obdarzali ich skostniałemi na wieki doskonałościami, z których uleciał duch twórczy, a więc omylny i mylący się wiecznie.

Czy nie zamierzamy wywiesić żadnego sztandaru i umożliwiać rozmaitym wolontaryuszom swobodne harce? Niestety — tak właśnie wyobrażamy sobie działalność „działu filozoficznego”. Odwieczny system filozofii *staje się*, przyczem stawanie to ma dziwny i zgoła nieprzyzwoity zwyczaj chodzenia manowcami — tak nas Pan Bóg ulepił i na to niema rady. Należy sobie tylko uprzytomnić, że myślenie nie jest prostą geometryczną, która podobno łączy najkrótszą drogą dwa punkty na płaszczyźnie.

Oto w krótkości „program” i niezbędne w takich razach „uzasadnienie”. Jesteśmy przekonani, że zdołamy go, choćby ułamkowo tylko, urzeczywistnić, gdyż wierzymy w ukryte moce duszy polskiej i *nawet*, co się niejednemu wyda młodzieńcem urojeniem, w zdolności jej spekulatywne. Uczono nas przez dziesiątki lat pogardy dla samych siebie i wyuczono już niezłe: czyż niewolnik potrafi iść w zawody z człowiekiem wolnym?

Chwila dzisiejsza, wywracająca warownie spojone fikcyami, przypomniła nam dawne czasy. Czujemy się znów narodem i to jednym z pierwszych. Nie przesądając więc, gdzie kopce graniczne jaźni polskiej, polecamy się Bogu i pomyślnym wiatrom.

## U POETÓW

FRYDERYK HEBBEL

## PIEŚŃ NOCNA.

*Rosnąca, dmąca się noc  
W gwiazd, światel migotnej fali.  
Mów, mroku, w wiecznej oddali  
Jakąż to ockła się moc?*

*Piersi dławi przerażeń znoj,  
Jakiś wzwyż prący a gnący  
Żywot, w siłę pełni drgającej,  
Czuję, wypiera ten mój.*

*Śnie, cicho tykasz tych mąk,  
Jak mamka dziecka dotyka,  
I wokół mdłego płomyka  
Ochronny zataczasz krąg.*

## DO NIEZNAJOMEJ.

*Zmierch zapadł dawno. Wszłaś niespodzianie.  
Nigdy cię w życiu nie widziałem wprzód.  
Z twych ust niejedno słodkie padło zdanie,  
Serce me zdobył ich szczerości cud.  
Cicho, jak przyszłaś, podniosłaś się potem  
I mile wszystkich pożegnałaś nas.  
Mrok twarz twą gęstym osłaniał namiotem,  
O twe nazwisko nie spytałem wczas.*

*Teraz już nigdy nie pozna cię oko,  
Choćby przed sobą miało czar twych lic;  
Gdy obce usta imię twe wywołą,  
Nawet to imię nie powie mi nic.  
A jednak wiecznie przez żywota drogę  
Żyć we mnie będziesz, jako w ciszy ton,  
A że ci kształtu, formy dać nie mogę,  
W grób cię nie porwie żadnej formy zgon.*

*Życie ma swoje tajemne godziny,  
Gdy jaw przyrody, acz władnej, nam dan;  
Cieszym się wtedy, cieszym bez przyczyny,  
Krwawim, a wcale nie czujemy ran.  
Może to wtedy czasem się zesnuje  
Krewne z pokrewnem w związek krótkich mgnień,  
Może, gdy płaczą, wzdrygam się, raduję,  
Twe to uczucie wstrząsa mną po rdzeń.*

## DWAJ WĘDROWCY.

*Niemowa idzie po świecie,  
Bóg zwierzył mu słowo-mysł;  
Nie zgłębi jego treści,  
Aż temu je obwieści,  
Którego nie zna dziś.*

*Wędruje głuchy po świecie,  
Iść kazał mu sam Bóg;  
Temu dał pieczęć na uszy,  
Tamtemu głos w ustach głuszy,  
Aż tórz ich zetknie dróg.*

*Przemówi wówczas niemy,  
 Głuchy postłyszysz dźwięk słów,  
 W tajemnym ich poszumie  
 Myśl Bożą wnet wyrozumie,  
 O świecie rozejdą się znów.*

*By się ci dwaj znaleźli,  
 Módlcie się, ludzie z chat.  
 Gdy zejdą się nieodwrotnie  
 Ci, co dziś błądzą samotnie,  
 U celu stanie świat.*

### WRAŻENIE ZMIERZCHOWE.

*Cóż to mię ztąd wygania,  
 A tajemniczo nęci tam?  
 Cóż mam ja do wygrania,  
 I czem za zysk zapłacić mam?*

*Zbliżył-że się niewidnie  
 Mój dziedzic, duch, z powietrznych złud,  
 I w śmierć mię pcha bezwstydnie,  
 Bo jemu żyć niewolno wprzód?*

*I wita-ż mię z oddali,  
 Z innej gdzieś gwiazdy, winna kiść,  
 Co dla mnie się dojrzała  
 I chce, by wnet już po nią iść?*

MIRIAM.





WACŁAW BERENT.

# OPOWIEŚĆ RYBAŁTA.



uż i królowa, zabawiająca się w polu łowami z sokolem, zwiędziała się było od dworek o linochoda popisach w mieście. Zechciała pani ujrzeć go na własne oczy. Ale chęć wielkich państwa cierpliwa być musi. Nim się orszak należytym szykiem ustawił, przez biegacze w mieście obwieścił i ku bramie zdążył, już linochód zapomniał, kiedy dotarł było do drugiej wieży. — Nie bardzo gniewała się Pani; bo nie do uciechy pospółstwa jej było, lecz do własnej troski: zażyła tego fortelu, by przez miasto na zamek powracać i zwiędzić się samej o rycerzu skazanym.

Miała pani lepsze szpiegi nad gburne zbiry królewskie, bo wścibstwo dworek swoich i cichą pomoc co ładniejszych kobiet w mieście. Jakoż ledwie biegacz wpadł na plac przed kościołem, a już oto z naw głębi ciągnęły niewiasty przed królowej oblicze bratafranciszkanina. Ten, myślały, będzie niechybnie coś wiedział o rycerzu: nazbyt bo żarliwie modlił się i płacz od czasu ogłoszenia wyroku.

Jednego tylko nie mogły wiedzieć kobiety: — że w łówkę domysłów swoich schwyciły dla pani najwłaściwszego już teraz ptaka. Bo od czasu pocałunku rycerza, już tylko o niej myślał mnich wśród pacierzy.

A jednak, wywleczon z nawy, niczem osiny liść rozdygotał się brat cichy, który królów w żywych kamieniach po kościołach jeno oglądał, a w twarz ich cielesną, za żywa, pojrzeć nigdy się nie ważył, choć, bywało, mijał orszaki. Ukłękł tedy przed kobietami i rozkładał błagalnie ręce, a na gardło niemi wskazywał, że głosu nie dobiedzie przed królowej obliczem. Powiada, iż tyle tylko wybiegała ku niej myśl mnisza, że jej zdrowie, jak trzeba, do pacierza włączał.

„Boże, miej w pieczy królowę! — powtórzcie jej niewiasty. I że mnich ani więcej myśli w głowie, ani śmiałości w gardle nie znajdzie przy niej. Próżno wzywać niemego.“

Co ledwie rzekłszy, wstrząsnie się gwałtownie, bo oto wszystkie gołębie sfrunęły nagle z ziemi i nu-

że garnąć się do murów kościoła, na figury święte: stanęła każda jak ten święty Franciszek w ptactwa chmurze.

Tymczasem psiarni pstrokatej sfora wbiega, za ptactwa wiatrem, aż na schody fary, a pod bicza kłaśnięcie zawrócona zbija się w trzodę owiec. I biegnie truchtem u nóg końskich. Błyskają nad nią skrętne węże trąb u boku harcowników kraśnych. Ciągną dalej konne szeregi łuczników w kitowych czapach. Za nimi dopiero widać jasne stroje dworu.

Patrzy mnich: koń złotogłowiem, jak tron, nakryty, na nim okazała pani w szkarłatach; przy niej, na koniu, osoba duchowna. Stanęło serce mnicha na tę myśl radosną: „Królowa pani z biskupem!“ I samo ubłożenie ślania go na kłęczki.

Przeszkodziły kobiety. „To dworska dama ze spowiednikiem dworu.“

Ślepą mnisze oczy pod ten rozruch uroczyستی i łńienia naokół; ledwie w nich zaświeci w błękicie kształt niewiasty, smuklejszy od onych na murach kościoła; przy niej rycerz gronostajowego płaszcza rozrzutem osłania siebie i rumaka zarazem. „Król jego-ność i Pani!“ — krzyknęła w mnichu pokora. I ślania go wraz na kolana.

Przeszkodziły kobiety: „To panna dworska z wielkim sokolnikiem dworu.“

Już się oczom jego ten przepych w tęczę roz-targnął i zmigotał w różne blaski dyamentów. Jak z tęczy i rosy wybłysnął ku niemu uśmiech kobiecy. „O! — składa mnich dłonie, — królowej to naszej najpiękniejszej uroda! Przy niej pan! — dumniej żadne nie spoglądają króle!“

Podjęły niewiasty mnicha z kłęczek. „To służebna Pani i starszy sługa pałacowy.“

Rozstępił się czyni w korowodzie i takie zaciszenie wśród tłumów, że słycać zdala ciężki chód komorowej straży. Wynurza się to z ulicy czerwienią długich pawęży i rysiwemi futrami na ramionach, a stąpa w surowości zakrzepłej. Uderzył wreszcie okrzyk ludu tak gromki, że otrząsły się z świętych murów gołębie kościelne i nuże chmurą białą wiać a wiać nad placem...

„Królowa pani!“ — krzykną kobiety mnichowi w ucho. I pchną go, by sam ku niej zeszedł.

Pogięty, przelaman w pasie, głową jeno wygołną widny, z rozstawionemi jak u pływaka ramionami, zstępował, spływał mnich ze schodów kościoła ku strzemiomom Pani.

„... Twoich ja praw spowiednika naruszać nie zyczę. Ani okrutnemu wyrokowi króla przeciwzić się nie śmiem. Przecie wieści o rycerzu łaknę.“

„Boże, młej w pieczy królowę!“

„Dziękuję-ć, choć po raz wtóry to słyszę. I odegnij wreszcie karku, w oczy mi spójrz: może w twej twarzy odczytam wieść jaką.“

„Boże, miej w pieczy królowę!“

„Surowość nazbyt okrutna jest, bracie, w pokorze twojej. Będę i ja surowa w błaganu mojem: — mnichu, podejm głowę! bo, z karku ci zdjęta, pod oczy podjąc ją sobie każe.“

Aż się sokół na berle Pani strzepnął; a że oślepien w tej chwili kapturkiem złotym, nie wiedział czego chcą od niego. Więc się tylko szponami berła lekliwie chwycił, szum orłowy czyniąc nad głową zahukanego mnicha. Podjęła się z pod konia charcica biała, ledwie tam przyległa, pręży kabląk chudego ciała i dziwi się niuchem uporowi mnicha. Nie warkła przecie ta królowej stróżka, a tylko pysk swój dług; na ramieniu mu kładzie, — łąsi się nim do mnicha!

Na ten widok opadł natychmiast gniew pani; w oprzytomnieniu onem, że wszak to brat franciszkanin przed nią kłęczy: wszelkiego stworzenia przyjaciel najłagodniejszy. Na tę myśl, pewność siebie — ta kobieca — rozjaśniła jej twarz: jako że kobieta z dobrego zawsze swoje dobędzie, a i z niemym, gdy dobry, ugwarzy. Ku czemu wszakże najkrótsza droga, by w lica urodę choć raz przecie wejrzeć!

Poprawi się pani na strzemiomach, tuż u pochylonej głowy mnicha: — ujrzy brat, jak pod białofutrzonym obłogiem królewskiej szaty, na złoty łuk strzemięcia, wychyli się łasiczką i zakolebie gołębkiem siwym pani cizemek biały. I choć oczy natychmiast zamknie, widzi wciąż że stopkę malutką.

Dziwi się pani w duchu, że mnich jest tak zakamieniał, iż mimo tego nawet nie spójrział jej jeszcze w twarz. Więc zgubi strzemię i „popraw, bracie, popraw! — woła, — bo się osunę z siodła.“ Jęły ręce mnicha opływać on kształt z oddali, nie śmiejąc dotknąć, ni tę ptaszynę, gdy sfrunie z gniazda. I tak, troskę świadcząc rąk dewocya, pomocy zaniechał; — nóżka sama trafić w strzemię musiała. I już się dawno na niem opała, gdy przypadły do niej wreszcie ręce nieskore, a za rękoma i usta mnicha. Nie bronila pani, choć się nieco zdumiewa temu zasłochaniu, które wstrząsa wciąż kłęczącym.

„A teraz, — (cofa pani łagodnie nóżkę, by nie całował bez końca) — a teraz, powiadaj mi wszystko, co wiesz o rycerzu.“

Ruszyły się wreszcie słowa w zaciśniętem gardle mnicha.

„Królowo, nie wiele ja wiem. To jedno powiedzieć ci mogę: choć ciałem przyplaci, duszą żyć będzie rycerz wiecznie! Bowiem ja wzięłam na się jego grzech śmiertelny.“

„Ty?!“

Aż się stupotał i sparskał pod nią biały rumak królewski.

„Ty?!...“ — spojrzy nań; z załośliwą pogardą. I zakończy surowo:

„Bacz, co-ć powiedziałam! Znajdą się niewiasty, które rycerzowi do ucieczki dopomogą; ty je doń powiedziesz. I powiesz mu, że jeśli króla przebaczenie uzyskać z czasem pragnie, niech, wywiedzion na wolę, rusza w światy na szukanie Graala. Kocha się król w onej tęsknicy dawnego rycerstwa. A za królem i ja się kochać nie przestawam... Te ostatnie dwa słowa akuratnie powtórz, choćbyś wszystko inne ułonił w pamięci.“

Ledwie pani o Graalu wspomniała, a mnich porwie się z kolan, nastawi się ku niej twarzą. I jakby mu licowego widzenia niedość było, ręce rozkłada, — dłońmi, rzekniesz, wziera: chłonnie w siebie wid i płomienieje w tem zapatrzeniu.

A że niedość korne to olśnienie było, targnęła się poniewoli dłoń pani; — aż sokół na berle nastroszył czujnie pióra i, choć oślepien. obraca głowę za wyżą widnokręgą.

„Bacz owo, jakęś zdumiał rychło ku mnie, mnichu korny?“

Ale brat już nie z gardła zaciśniętego dobywał słowa, lecz w pierś weszbraną po nie sięgał:

„Niczem on sokół, próżno ja, Pani, w twe wyże spoglądam: — i jam oślepien kapucą. (Targnął na głowę kaptur mniszy). A przecie pod kapturem onym przeżywam ja w sobie wszystkie dzieje onego rycerstwa, o którym rzekłaś przed chwilą. Bo wiedz: składa przeor mój krojiki śpiewne o rycerzach Graala, jako że zonglerzy po piekarniach nazbyt już nieświątem uczynili słowo dawne. Na skrzyni ksiąg swej celi siada wtedy przeor siwabrody i mówi wonczas z siebie. Ja zaś w nyży okiennej przy księdze stoję i wpisuję w nią akuratnie przeorowe słowo. A gdzie się pieśń nowa rozpocząć ma, tam ja wymyślnemi sploty w złoto i purpurę oblamiam przeorowej księgi karty wieczne; zaś gdzieniegdzie i obraz błękitny w księgę kładę. Nie za grzech mi to liczy przeor dobry. A odpustową porą nawet za kwestarza oto na miasto wysyła, bym nieco farb świata

w oczy wziął: księga, powiada, piękniejsza przez to się stanie — na klasztoru chwałę... Oto napatryłem się dziś w sukiennicach wszystkich farb świata! Oto nasłuchałem się w piekarni takich kolorów życia, że za oczami ściła mi się i duszą!... Aż nakoniec biorę w swe oczy purpurę życia, świata różel— oblicze jakby onej królowej pana Lancelota, o której żongler opowiadał w piekarni, — lico najpiękniejsze, jakie Bóg dał kiedy kobiecie ziemskiej!..“

Wówczas dopiero pojęła pani to zapatrzenie się jej. Z pod kaptura, na bladej jak opłatek twarzy jarzą się ku niej oczy mnicha: świecą zjawie żonglerowego romansu. Aż zrumieniła się twarz pani i rzęsami przytuliły jej oczy na takie aż pochlebstwo! — lileż bo razy w rojeniach swych skrytych miała się za królowę Ginewrę najpiękniejszą, pana Lancelota samego kochankę! ileż to razy kazała żonglerom opowiadać sobie oną powieść — Więc aż się wstydzi. A gdy palce zabawia teraz w zmieszaniu różą u swych piersi, myśleć musi, że wszak to malarz, piękności zachwytiliwiec, utonął oto oczyma w jej urodzie. Więc ta jej głowa na wiotkiej szyi sama się siania ku zapatrzeniu mnicha: — napatrz się, miły, napatrz do syta.

I zaduma, napoły senna, skołysała nagle jej myśli:

„Miodna pszczoła na mej róży, — miód piękności wiecznotrwały!... W przeorową księgę wieczną, w błękit, złoto i purpurę, w szat królewskich głóry całej, mniszę wwidzie mnie pachole.“

I skinąwszy, by pochod ruszył dalej, tę różę z przed piersi miotnie w uroczne oczy mnicha.

A gdy się wszczęły koło niej orszaku gwary i okrzyki ludu, patrzała przed się jak nie w porę oknięta: tak dziwnie obce zdało jej się wszystko naokół: i ten plac przed kościołem, i ten lud pokrzykliwy, i ten zamek na górze widny. Kędyż to spieszyć kazała i wieść się dworakom? W konnat swoich pustkę smętną, gdzie tłuką się marami wszystkich grzechów i zbrodni przypomnienia? Czy tak jej się niesamowicie wydało, że skinęła otc, by pochodem królewskim ruszyć po za wszystkie grzechów chwile i życia mknienie — wyżej, — dalej, — w złoty błękit wieczności!..

Pod to zapatrzenie się malarza, jak gdyby łódź chwili ochyła się w morze czasu.

„Mej urody czasem stanie — jak kościół!“

Nad miastem wyświetlały się jeszcze wieże a wielce strome dachy martwym już odbłaskiem, niby pyłem ceglastym wypełniały rynek i ulice. Oczóm nikli ludzie o tej porze, twarzy nabierały mury: —

w powietrzu zmierzchowiec stały teraz, każdym załosem i granią srodze wyraziste, ni to w zmarszczkach sędziwego wieku. Kędy spojrzysz: kadłuby murów, surowe kraty okien, wykusze ciężkie na rogach, dachów połamane plachy i te warownie gołe, bez blanków nawet, — surowo jakby na mieszczan chamską pogrozę wypiętrzone wieżyska.

Za rozchwijną ciszę pól na Ave, tu okrzepłość, chmurna kurzem ulic, opylem murów, a wzywami piwnic, padała i na dusze. I nie jaskółki ćwierkliwe zganiały się w powietrzu, a niemo, w bezszelstnym trzępocie, targaly się między murami nietoperze.

Pod zczerniałą w mroku górą kościoła ledwie się znaczył brat franciszkanin, przyległy gdzieś do schodów szeroką kupą szmat mniszyeh. Zrzadka tylko przerywał pacierze, prostował grzbiet i rozglądał się pò placu: czekał na one dworki, które miały ryccerzowi uładzić ucieczkę z miasta. Ale niewiasty one nie zjawiały się wcale, — mnogie bo sprawy ma pewnie królowa na głowie swojej!

Pusto było. Tylko, ku przerażeniu mnicha, kózodój rogaty przechycnął tędy w poświstach i pokrzykach żaków pędzących za nim. Ujrzawszy brata, ucieszył się bardzo on cap; a gdy się zdało, że zbędzie rogami w napędzie, przytuli się do habitu kosmatą piersią, wyjmie mu z półdrętwych palców tę różę, którą zostawiła mu królowa, powącha kwiat, wetknie mu go z powrotem w garść, sproną swawolą polechta brata, parskanie mu w twarz jak ten koń — i poskoczy dalej w ulice. A za nim żaki. Śmieją się niecnoty z zakonnika.

I znów pusto.

Wola cudza, mnisze, posłuchanie: gdy trzeba, stać będzie do rana — i z tym ogniem w palcach. U figury pod klasztoru murem złoży tę różę; może ujmie wówczas duszy ciąglego przypominania tej chwili, jak pod szaty obłogiem ną złotem strzemienu kolebie się gołąbkim siwym teni ciężek pani... „Oo!“ — coraz to bezradniej myślom z wieczora za furką klasztorną... „Pana Lancelota siłą królowa do się sprwadzić kazała, opowiadał żongler... Został przyjęty i n logiam, w rozmownicy, co było znakiem osobliwej przychyłności pani...“

Ocieżało serce; grzech rojeń czai się nad duszą i głuszy pacierze. Damarad, niedobra gorączka, otrząsa mnicha dygotną.

Na plac wjeżdża konny; — gdyby nie zatętnienie kopyt, cieniem by się zdał. Wprost na mnicha jedzie.

„W imię Ojca, Syna i Ducha... Od niej wieść!“

„Ty żeś jest brat franciszkanin, z którym mówiła królowa?“

„Ja, paniel.. Oh, ja, ja!”

„Masz u pułapu kościoła, w absydowej bani, obraz Zwiastowania zdziałać, a królowę w nim za anioła. Zdołasz li to?”

Ku górze rozłożyły się w olśnieniu dłonie brata; niewiadomo: w nieba li się tak zapatrzył, czy też w zawczas już widziany on obraz w absydowej bani. Aż wysłannik królowej podwakroć swe pytanie powtórzyć musiał.

„Zdołasz li to?”

„Gdy przeor każe, potrafię.”

„Pomówi się tedy z przeorem. — Wiozę-ć i drugi rozkaz. Masz się jutro na zamku u królowej pani stawić.”

Mnich tylko ramionami bezradnie rozkłada i chyli się, a chyli w pasie.

„Zostaniesz bracie....”

„Przyjęty in logiam, w rozmownicyl..” — przerwie mu mnich. I chwyci się rozpacznie za głowę.

Podemie się pan w strzemionach, zdumiony, o czym to właściwie mniszysko zabredziło tak gwałtownie. I odyma wargi nad tem szczególnem upodobaniem sobie jego przez królowę.

„Przyjmą cię mnichu, na zamku, gdzie raczą w łasce. A jakiejkolwiek doznasz, w milczeniu doniesione musi być to do grobu. Inaczej biada tobie i klasztorowi!”

„Oo!..”

Zawrócił pan stępą, głucho uderzając kopyta konia.

Pędem ruszy brat do klasztoru. Lecz z za wieży kościoła zabiega przed niego nagłym wyskokiem chmara złych postaci, — jakby z górnych krawędzi wieżowych zeslizgnęły się doń po murze.

Z twarzą w dłoniach przypadł mnich do ziemi.

Na rynku tymczasem po niesporach zatańczono znowuż. Te skoczne gromady wszelakiego ludu, w siwym zmierzchu dymami zasnute i naświetlone zwiewnymi wyblaskami płomieni, wydawały się z za szyb ludzi statecznych nieledwie zmorą wieczora, strzyg tajemniczym złotem. Bo choć niby radosne te płasy, w posuwiste reje snują się przy pochodniach w ciężkich mieszczach upojenia lubę.

Tylko rybałty czynią skoczne wyrwane. Tylko mieszczka jaka, z mężatek mocno już podłechtanych, szerokie swe stroje jeszcze bardziej poszerzy spódnic podjęciem i pod oną kupą ciężkiego szychu śmiga lekką jak u kozy nóżką — żakom pod nos niemal.

I kogo na rynku wonzas nie był! kto nie płaśał tą porą! — a sprośnie, jak tamta żonka czyjaś.

Różne bo stają się w chęciach swoich w czas odpustu i najzacniejsze panie! Osobliwie, gdy się nasłuchały wprzód romansów po piekarniach. Bywają bo bardzo pochutne opowieści; a gdy panie szczodre, i najzacniejszy zongler nie długo będzie się wzbrańał, aby takiego romansu nie opowiedzieć z powagą, — z powagą koniecznie i ze smutkiem na końcu, — by nie stawać się jak ten gadkarz na rynku. Tylko że ta powaga i smutek nie udzielały się kobietom. Tak i przez komin przeleć gotowa, gdy zielonemi oczyma rozmarzeń zapatrzy się w ognie tańca i swawoli miłosnej. Niczem kot o zmierzchu giętka, a od roztęsknień ciepła i cielistą, pomyka się pod murami na miękkich stopach kocicy.

Rade witają je żaki w tej oćmie zmierzchowej: pociemku niejedno wolno, przed czym za dnia i pazurami się bronią; — nigdy nie zgadniesz, jaką kotka po nocy będzie. W tej zasię nadziei, oto aż porosi żaków w zawodzeniu rybałtowego chóru:

„Bacche saepe visitas  
mulierum genus,  
facit eas subditas  
tibi o tu Venus!”

I prawdziwie uległmi je czyni. Opodal rynku, po głuchych z wieczora podwórcach studziennych ploszą się szczury i zlatują nietoperze ku nagłym bielom cielesnym. Tylko sówka z wieży przedrzeźnia starek chichoty.

Bo żak, jak ten kogut, nie wiele tam patrzy: która płące mu się najbliżej, a gładce najgłośniej, — ta dobra!

Natomiast bachowe skoczki w capów futrze zaganiają się tylko za młódkami. Brzydzą się Pan k i. szczurów zalotem i ciemnymi zakamarki, a cieszą ich zarówno dziewcząt śmiechy, jak i dąsy; zaś nade wszystko raduje gromadzka uciecha. Bo gdy ich nawet która między rogi piastką dzieli, nie gniewają się wcale o to Marcholty one sprośne; parskną tylko, otrząsną kudły i skoczą wraz do innej, szczypać ją słowem Satyrów. Rychło patrzeć, jak, za dąsami i gniewem, taka skłonność wzięła kobiety ku nim, że się same ich psotom wciąż nastęrczają: za kozią bródkę targają, kłują, czem się da, w łody.

Oto wtuliła się któraś sama takimiu w kosmate łapy.

„Pan k u l..” — szepcze pieściewie.

„Mhm?..” — wymrucza się cap w lubości.

„Szpetnyś, jak na pokaranie Boskie!”

I wywinie mu się wraz z ramienia, cofa się tyłem, a łapkami trzepie: psoci, ni ten kociaz z kundlem grubym. Zbodnąć ją biegnie Pan e k drażniący, a wraz fletnić z pod pachy wyciąga i gniew

swój, a jurność całą, piosenką wyśwista, wytopocze w tańcu.

Owóż i druga garnie się ku niemu; ta już się nie tuli, a wprost ramiona na szyję mu zarzuca.

„Poskoczyłam z tobą, kozodoju, żeś leciutki! Popędziłabym w pola, żeś wesół! I że się nie przykrzasz wciąż o jedno tylko, jak pan mąż, lub te żaki przylepne. Nacieszyłabym się naprzód sobą przy tobie, a potem dopiero może i czem innym — razem. Bo tak potrzeba nam kobietom, aby wszystko w nas było komu lube: i śmiech nasz, i psota, i dąsy, i gniew srogi, i płacze, — i rozdąsanie. Pobiegłażbym z tobą! popędziła w światy!”

„To się rozzuj wprzódy do kopytek, — drażni ją cap, — bym widział, czyś mi kamiatka.“

„Ował myślisz?..“

I już siedzi na ziemi, gdzie stała, ściga cizemki i pończochy i ciska to wszystko po kolei P a n k o w i na głowę. A targając się przy tej robocie, mówić nie przestaje:

„Niechże się choć rozzuję nie w pana-mężowe łóżce, a sobie na ochotę, na psotę, na nic chocia, — o!.. Myślisz, capie, gdy nam z wiankiem z głowy i młodą ochotę z duszy panu mężowi oddać trza w skrzynię, pod klucze, — że my to już starki nazajutrz, — choć nas w szerokie szaty objuczają i stąpać każą jak tym kobyłom dla panów mężów godności... Myślisz, że się powstydzę? lubo poboję?— O, wejl.. Niech się pan mąż pod górą pierzyny nasapie dziś pomstliwie, gdy, ocknąwszy się nocką, sięgnie łapą jak po to swoje... a tu żonki — niemal Naciesz się, nalubuj z pierzyną. (Wybuchnie śmiechem wysokim, zatreluje radości gamą, a przecie aż zgrzytliwie w tem weselu młodem). Patrz, jakie mi pan mąż pończoszki ładnie dziś kupił.. Na, masz! — (rzuca mu je na głowę)... Jestem! Zawsistaj! Potańcujem.“

Oto druga, trzecia, piąta para taka znalazła się tymczasem: ilu P a n k ó w było, każdy nimfę znalazł.

Krząta się między nimi wyziębły i zagrzewa ramionami menestrel w swem gieźle podwiewnem. Że za pieśń śpiewaną na kanoniach ledwie grosik z pod stopy uratował, tuby onym, tańczoną zagrał. Dądzą co, nie dadzą: gbur, kto się z wesolą kompanią zawczas układa.

Jakoż ożwała się gęśl na przedzie par onych, a przyspiesza tonu za głosem fletni. Rozskakał się jak ten kozieł psotny i sam smyk na strunach, — zawodzą satyry:

„Ol ol — totus floreo  
iam amore venereo  
totus ardeo!..“

Rozprężnie pokładały się tanecznicze w kosmatych ramionach Satyrów, wypuklają piersi w nabiegu szalonym. A rybaltów pieśni w skrytości snadź świadomy, zawtórzy pod fletnie cienki chór kobiet:

Novus, novus amor  
est quo pereol...

Wywiódł ich dyabeł na przedkościelny plac w chwili, gdy brat porwać się chciał było do klasztoru. Przed nimi to padł mnich na twarz. Kobiety, których w rozpętaniu swawoli nigdy nie powstrzyma, skore były lechtać sobą i tę cichość czleczą: oto potracają już nóżkami kaptur mniszy.

A menestrel, — któremu się w tej chwili na zbyt dobrze grało dla płochych uszu taneczników, — rad, że się tu czulsze nastroczają uszy, pochyla się nad głową mnicha z gęślami swemi.

I gra mu wszystkich śmiechów niewieścich rozpryski na strunach, wszystkich psot i dąsów białogłowskich zakrętne płasy, ich uporu nawrotne śpiewki. Ich rozgwarne ćwierki pustoty, ich tkliwienia się rzewne na przeciwtonie fałszu, ich porywów wybuchy rozpętane, ich pychy korowody pawie, — i cisze... pod wrzeczona warkotne wspominki, pod grzesznych rojeń kołysanki nowe...

„Wiem, wiem, szatanie, o czem to gędziesz sumieniu! — okrzyknie się mnich, nie podnosząc twarzy. — One to zawieruchy duszne wzięłam na się z grzechem ryercza! one w sercach naszych przemocel! Przemogły, przemogły i w lichem sercu mojem! Nie pokutę wzięłam na się, a grzech żywy... Tęsknię!..“

„Nasyciłeś się gędzbą: ona zawsze tęsknotę żywi. Masz bracie, kwestarzu, skarbonkę zasobną, wytrząchnij za to choć grosik!

„Jam wasz i ze szkatułą ona!“

A że mnich leży jak kłoda, choć niby wszystko oddaje, więc kompania wesola, sama ściga zeń rzemień skarbonki. Ledwie trząchną jej grosiwem obfitem, a szal ich porwie i poniesie w skokach.

„Bacchel... Bacchel...“

Zas mniha wtedy dopiero poderwało z ziemi i wwiało aż na schody kościoła. Z rozstawionemi ramionami okrzyknie zię za nimi:

„Za to klasztoru okradzenie będzie mnie ona chociaż chciała, szatanu?!“

„Kaźda! — ryknie śmiechem sfera piekielna.

I w tego śmiechu rozpryskach na gęśli ruszy w pias sabatu. Pokładają się strzygi w kosmate łapy i n c u b ó w swoich, rozrywają szaty pod szy-

jami, snadź i wstyd sam już im za ciasny ku uciesze onej. A piersi, z pod giezła dobyte, pręzą przed sobą za rogi bodliwe. I w poskokach szalonych uderzą w ten dyablic skwir:

„Novus, novus amorum  
est quo ardeol.”

Nie na długo jednak wrócono uciesze tej. Oto w wylotu ulicy, widzą, stoi pan mąż w szubie i ogromnej czapie na uszach, — opodal drugi, — za węglem trzeci się czai. Satyry nie rycerze: tylko ich kopyta widziały niewiasty, gdy mąż za kark już chwytal i rzucał o ziem, sobie pod nogi.

„Tu-żes?!... Tu-żes mi?!... Na takim to weselu? Ledwim żonglera przepędził z piekarni, co ci głowę romansem zczmucił, za szatę z skrzyni najdroższą, rozrzutnico durna!... I zgził mi przecie babę! Skoczaków ci się teraz zachciało i piszczków na tańce ucieszne?... Którędyś wylazła z zapartego domu? Powiadaj!”

Bardzo gruby ramię odpaśal pan mąż pod szubą; a gdzie dzieli, tam i przydepnie.

„Za goliardy! — wali tedy, — za waganty! za gołą w miasto naszła, żonka mi od krosienek, przez okno, po lince... Bacz-że, widzieli to sąsiedzi! Czekaj aż ci przyjdą wyśpiewać to pod oknami na srom mój... A wiesz ty, że one two goliardy i rybałty nawet do łaźni wpuszczają tylko w piątki, z żydami razem?... A tyś się dała w kompanię lichocie takiej!”

Temi słowy pobudził się sam do takiego gniewu, że mu wraz spęczniała grdyka i na burak zezzerwiała twarz.

„Zechcesz mi może podmiotnąć co z onego nasienia?!...

A ona, jak gdyby się zachwyciła tym mężowskim pomysłem, bo ścichnie nagle w zanoszeniach się od płaczu. Tę starganą jak u czarownicy głowę podejmie i wyblśnie mściwimi oczyma. I wraz ramionami coś niby tuli do swych piersi.

„Jakżeby takiego kołysała, panie mężu! jakżeby pieściła! Pewnieby gędziec lub pieśniarz wyrósł z niego”.

I on jad wsączwszy mu w myśli na pomstę, wywinie mu się z pod ramienia; ucieka w ulicę. A choć do sińców zbita, obciera się przecie, czy pasya sroga zalewa należycie ten łeb czerwony.

„A cizemki gdzie?! — spostrzegal teraz dopiero jej bosc nogi. — Gdzież obuwia zbyła, małpo rozrzutna?!... Ledwim ci je kupił w aukcjonach!... Cizemkiż one i pończoszki strojne gdzie?!”

Zgoni po raz drugi i dzieli łapą ciężką, miotnie jak łomok w bramę domostwa. Aż się zatrzasnęły wreszcie wrota i ścichły za nimi skowyty bólu.

Ciągnęli panowie męże żonki swe do się, na one łoża wysokie, pod te baldachy a pierzyny ludzi osiadłych.

Tam też szukać o tej porze wszystkiego, co stateczne w mieście. Na ulicach i wagantów już nie znajdziesz: pilno im było przepijać po gospodach zarobki dzisiejsze. Tu i owdzie spotkasz tylko rozwrzeszczane bandy młodzi grodzkiej. Choć ledwie co dziesiąty gębę gdzie w kufie umaczał, spolił się dziś wszyscy do onego szalu urągania wszystkiemu, przed czem czapkowali wczoraj. Osobliwą radość sprawiało im teraz drzeć się przed temi oknami najpoważniejszych ojców grodu, skąd rozlegały się krzyki kobiet karconych. Księża i mnichy jakby się pod ziemie zapadli, by ich który, co się wczoraj kajał, nie zapytał o zdrowie dobrodziki. Oto wyrostek jakowyś odyma się przy dziewce grubej, pokazując niby ludziom, jak to kroczy przez miasto srogi ksiądz kanonik cum sua matrona. A tłum rycy z uciechy.

Zadziorne i szczwane wężrzenia ma teraz młodzież grodzka, jakoby pełne sprośnych tajemnic cudzych i trefnego z nich szydu. Gdzie wdowa jaka mieszkała, która za mąż wydać się rada, gdzie panna nieprawiczka, gdzie rogacz cichy, który kukulczęta poczciwie chowa, — tam ściągały ucieszniki grodzkie, by, w maskary przyodziane, w blachy pod oknami dzwonić i skoki urągliwe wyczyniać.

Radosność wagantów tyle bo wznieciła w sercach grodzian: rozpalając do biała nienawiść ku sobie wśród ojców miasta, zgziła im żonki i córy, a w młodzieży wzbudziła oną zadziorność z sąsiady i pomstliwe wścibstwo w cudze sprawy i dole.

Tyle wnieśli wędrowni między osiadłych, tyle on wiew swobody z gościńców świata, tyle ducha wici z uciechą razem, tyle gędźba i menestrelstwa zacniejsze, tyle wolna igra z życia niewolnym smutkiem.

I dyaby same nie wiedziały, zali się teraz cieszyć mają; jako że w onych urągowskich młodzieży nad ojcami, księżmi i sąsiady cnota sama świecić się pono chciała.

Wagantów już to dawno nie cieszyło. Omierzyli im do cna te osiadłe satyry grodzkie; poszli za swymi, — dzikimi. Oto zasobną szkatułą franciszkańskiego kwestarza zdzwaniają Pan k i rybałtów wszystkich na dożynki dzisiejszego żniwa.

(C. D. N.)



# SEN NOCY JESIENNEJ.

Wieczór zapadał. Niebo, zawalone szarą chmurkami, pozółkło już gorąco na zachodzie. Żłocista narzutka drzew jesiennych okryła górę zamkową. Na jej wierzchołku czerwieniły się stopy pogruhotanych cegieł, a tu i owdzie z pod ziemi wyzierały twarde fundamenta. W jednym końcu tej góry stała samotna, pękata w sobie wieżyca, żelaznem podparta rusztowaniem. Na drugim zaś czubku falistego grzbiecie, niżej nieco, sterczał długi, nadkaszany kielcem czasu, złom zamkowego muru. Spojni kilka żelaznych go ścisnęło w jedność głazu i tak przetrwał on burze wiekowe. Żółty blask zachodu ślizgał się na poszarpanem jego czole.

Z tych smutnych zwalisk rozciągał się widok wspaniały. Z jednej strony z poza złotych liści niebezpieczwały skręty Wilji i czerniały lesiste pagóry u nieboskłonu. Z drugiej strony, nad morzeną dachów rudych, okopconych, unosiła się płasko kryta świątynia św. Stanisława z samotną wieżą, a dalej widniały ceglane gmachy św. Anny i bernardyńskiego kościoła.

Ostatnie blaski słońca nurzającego się w chmur powodzi złościły już tylko sędziwe czoło baszty i gruz wierzchołki. W cieniu zaś zalegającym resztę ruiny wolno przechadzał się HAMLET, królewic duński. Długa czarna szata tuliła go, a włos ciemny równemi pasmami okalał blade jego a zacięte oblicze. W długich palcach trzymał księgę o złożonych brzęgach i wolno kartki jej przewracał. Obok niego stała w powłóczystej białej szacie i w białym na włosach wianku: Ofelja.

— Zaprzestalibyście, mój królewicu, szperania w suchej księdze.

On nie odrzekł ani słowa.

— Czegoż to w niej szukacie? czegoście się tak zasepili?

— Czego szukam? wątpianie wara pytać się o to. Szukam, gdziebym znalazł wytłumaczenie zagadki: przeznaczenia naszego wyjaśnienie.

— I potościę tu przybyli? po to?

— A jakże, wątpanno, jam tu po to przyszedł.

— A nie mogliście, królewicu, w ojcowskim zamku znaleźć jej wyjaśnienie? Tam, nad Wisłą, w krużgankach wawelskiego dworu?

— Nie mogłem — i nigdybym nie znalazł. Tu poszukam i znajdę.

— A czemu nie w dawnej siedzibie?

— Czemu? powiem wątpannie, chociaż nie wieniem jej wytłumaczenia najszybszych ducha mego tajemnic.

Oto wszak znasz waćpanna ten zamek, co na sędziwym grzbiecie góry się roztasował. Nie jedna to ręka abrys jego rzuciła na kamień obrany z chwastu i nierówności, bo widać na nim było wysiłek głowy i ręki pokoleń całych. Jądrem mu była prastara katedra, na omszałych granitowych zrębach wzniesiona. Okolił ją z czasem zaśniedzialemi dachami suty kaplic wianek. Jednej z dwu wież nie zdołał już wykończyć budowniczy, więc pokolenie następne ustroiło ją w zegar słoneczny malowany i w hełm spizowy osobliwego gustu z czwórka trębaczy na rogach, którzy lśniące trąby do ust wąsatych przytknąwszy, dech w sobie zaparli i gotowali się do radosnego hejnału, gdyby mi się udało rozplątać ją tajemnicę. Siostrzycę jej wysoką zdołał smukły hełm z malutką u wirchu kopułą...

Wewnątrz tej mrocznej katedry stały pod ścianami szeregi sarkofagów marmurowych, na których wyrzeźbieni królowie i walecznicy spali snem nieprzespanym. Na łańskich napisach tych grobowców jam czytać się uczył i z wizerunków utkanych na zawieszistych arrasach pierwsze brałem wiadomości dziejowe. Pod katedrą, w sklepach wilgotnych, pokotem leżały ciężkie truchliska, których wieka dźwigałem nie raz, by czaszkom pradziadów zajrzeć w puste oczów jamy.

A myśli, w mrokach katedry wyklute, jam nosił po zamkowych komnatach, poprzez rozłożyste gmach sali poselskiej, gdzie z setką masek obłudnych, śledzących mnie z pod stropu, szydercze prowadził rozhowory, poprzez wąskie a trwożliwe przejścia, aż do szerokiego gościńca, wiodącego wokół podwórza, pod malowanym dachu okapem, wspartym kolumnkami wysmuklejszej budowy...

— Tam wam dobrze było, mój królewicu... trzeba było uciekać z tego zamku zacnego?

— Trzeba. Nie wiesz, co dalej się stało. W głuszy i pustce tam żyłem, a wiedziałem, że Klaudjusz w kraju się znów hucznie rozgościł. Ale go nie widział na oczy i widzieć wilczej jego gęby nie chciałem. Pusty i smętny stał zamek mój na uboczu, jak gniazdo sępów drapieżnych; a tymi sępami były myśli moje, tłukące się o kraty więzienia. Wrota były zawarte i sztabą przywalone na krzyż. — Otóż słuchaj waćpanna. Z wolnym ciekkiem dni i miesięcy brała mnie coraz cikliwsza nuda duszy i rozpacz bezwolna i nieraz mówiłem do siebie: „Tuś się zamknął, pustelniku, i światu złorzeczysz... a znaszli ten świat? To własnych myśli ułudna tkanina oczy ci zatuliła! Potworne jakieś carskie wrota przesądu przed okiem ci się spiętrzyły!”

Wtedy myślą rozpaczną począłem szturmować do zapartych bram duszy, w tych komorach, gdzie czelusie niezgłębione ziejają... i wołać wołaniem wielkiem Króla - Ducha, aby mi odpowiedź dał wyroczną w tej rozterce osamotnienia. Taka była odpowiedź: „POZNAJ ICH JAKIMI SĄ.“

A więc nowe mi stawiono zadanie. Poznać ich i zbadać miałem, których dotychczas nie chciałem widzieć na oczy. Wzrokiem, który ogrzewał się szlachetnością zamku świętego, przesyć plugawę ich dusze do głębi. I wtedy zszedłem z zamkowych schodów i wrota szczelnie zamknięte odwalilem i krzyknąłem: „Sam tu! — chodźcie tu w mój dom!“ Po tem udałem się na szczyt wieży i gości czekałem: ja warterz świętego grodu wrota otwarłem i radowała się dusza moja, przeczuwając ich przegraną w tym dusznym pojedynku. A tak mnie pochłonęła chęć zbadania i zgniecenia tego plugawego gadu, zem przepomniał o świętym warterskim obowiązku, wieki niezmiennie trwającym... Że zaś mrok już zapadał, więc zmorzył mnie sen tam w górze.

A obudzili mnie nagle krzyki i wrzaski z dołu...

Oto w zacisznych komnatach zamku świętego rozpasalo się zgorzenie. Zalała je gwarna ciżba ludzi rozbawionych. Tańcowały przy blasku pochodni na dziedzińcu moim rozbawione kobiety, a pośród nie rzucali się mężowie pijani i wyrwali je z koła roztańczonego, by samopas hasać po gmachach... Na oknie izby mej usiadł lutnista i patrzeć w księżyc, śpiewał z brząkaniem: „och ty jedyna...“ Przy wejściu do katedry stały kramy z piernikiem i paciorkami, pod Lubranką lały się strumienie piwa i wina. W sali tronowej zasiadły wkoło stołów czerwone, siwobrode dziady i jedli z sutyh mis, które nosili im pacholcy zziądani. Po krążgankach moich chodzili, po dwie, uróżwione dziewczynki, umizgując się do gamratów, którzy z przeciwka sunęli kogucim krokiem... W księżnicy królewskiej dwóch zasiadło i nuż wycinać inicjały, zdzierać okładki, wyrwać stronnice i iluminować — z dzieł wprost bez ceny!... Dwóch żydków licytowało klejnoty skarba i korony, których tam strzegłem jak duszy zbawienia!... A historyjgraf uczony okulary na nos założył i chodząc po kryptach, łokciem mierzył długość spróchniałych piszczei królewskich i w notesie zapisywał...

Wtedy stanął jak oniemiały. Znikła jak sen pyszna pewność ducha. — Jam mniemał, że w słów i myśli szermierce ślimacze ich, osłizgłe poznam skręty, próżnię ich wewnątrz skalpelem wyczuje światu wykaże próchno... a tu moc ich i podłość zbrukała przeczyste święte progil... Opadły mi ręce.

Zbiegłem szybko z wieżycy w krążganki moje — jak macierz na obronę pisklęcia — krążganki moje,

siecią najserdoczniejszych myśli mych z krwi wprost wysnutych opłatane. Tu mi drogę zabiegła czarnobrewa gamratka i do mnie się przytuliwszy, jęła mnie gładka pod brodę.

Żar gniewu na mnie uderzył. Siła siłę okoniem!... Zerwałem z niej pas złocisty i przez twarz ją siekłem... I przypomniał mi się Chrystus Pan powróstem precz żeniący przekupnie i bez upamiętania siec począłem najbliższych.

Święty zamek spługawiony! skalane progi kryształowe! zalane obcą przemocą święte mury! Gińcie! i niech zginie ta świętość z Wami — która już nie jest świętością! Bezsiła jest!

A pas złocisty syczał i zwijał mi się w ręku jak zmija. I oto nagle w blasku pochodni złota plecionka kosy swe rozpuściła i rozwinęła w ogniste języki i buchnął mi z ręki żar żywej pochodni. To znak był z za świata! Koniec Akropolisy!

Więc z pochodni mej pryskać poczęły i traskać iskry i płomyska i ogniem wielkim zajęły się gmachy zamkowe.

Pożar szedł, bo ogień to niebieski. W okamgnieniu zapłonęły wszystkie na Wawelu budowle i wśród ryku tych ludzi góra zamkowa zakwitła pod ciemne niebo jedną wielką koroną płomieni.

A ja wrota zawarłem i zatrzasnąłem i zaparłem i stojąc opodal, patrzałem na to, jak przepalały się i padały w węgiel słupy i mury, które mojemu były od dziecka.

Z całego Wawelu jedno tylko rumowisko zostało. A gdy gasnąc poczęły płomyki i nieznośny swąd się rozszedł nad całem wzgórzem, ja rapirem mym wypisałem na zwęglonym kamieniu te słowa: „Jeśli dom mój własny się spługawi, tedy go zwalę i pójdę szukać nowego.“

— I to nowy ma dom być dla was, tu? król-wewicu?

— Tu przyszedłem go wybudować. Dziś, gdy nie ma już zamku świętego, czuję, że w nim zaplała się kiedyś i płałabym się po wieki jeszcze... A rosną mi siły, jakby nie moje!... niepojęte... i ja go zbuduję, ten dom nowy, świetnie i trwale, ja mam o silnem ramieniu!... Życia mego błędy leżą przedemną jak mapa rozłożona!... I patrzę na nią cudzemi oczyma! Och! gdybym nigdy ksiąg mych nie był czytał!...

I wściekle począł księgę swą rwać w kawały. A wiatr wieczorny chwycił jedną z trzepoczących kart i jak białego gołębia zaniósł między dachy i uderzył nią w kute wrota św. Anny.

Wrota rozwarły się przychylnie. Z ceglanej świątyni wyszedł krokiem niecierpliwym rumak bojowy. Gdy nań padło światło latarni gazowej, ukazał się



być w harnaszu i mąż na nim siedział również w zbroi. Hełm nasunięty tylko oczy niespokojne okazał z pod żelaza. A tarczę miał rycerz ów u szyi przypiętą i zdawał się być w pogoni wysłany za jakimś wrogiem i tak wyjechał z ceglanej bramy jakby ze zamku. Schylił się napwół z konia i chwycił listek ów z Hamletowej księgi i zgniółszy w żelaznej rękawicy, klusem poczłapał ulicą w stronę czerniejącej góry zamkowej.

Ucichły kopyta na szeleszczącym podłożu jesienno-licia. Koń wycpoczęty parł z nieprzemierzoną siłą ku górze, a rycerz macał miecza u boku.

Posłyszal Hamlet szelest listowia, oczy ręką przysłonił i czekał w napięciu, kto zacz.

Zabrzmiała podkova o skaliste podłoże i z cmy wyłonił się łeb konia, a za nim tuż jeździec ów w zbroi.

Więc Hamlet struchlał i rzecze do siebie:

— FORTYNBRAS!... mąż silnego ramienia!... biada! Jemu albo mnie sądzona śmierć.

A tamten już dobył z poszew szerokiego korda i zleciawszy prawie z siodła, skoczył ku niemu.

Tu kord stateczny, — tu rapir ustępliwy, tu zbroja hartowana — tu czarna sutana: — łatwo było koniec przewidzieć.

A jednak Hamlet dzielnie się składał, jak niegdyś z Laertem, w obliczu dworu duńskiego, w Elzynorze.

Bój był krótki, bez tchu, zjadły.

Hamlet legł w głowę cięty.

Ofelja z krzykiem przypadła do niego.

A Fortynbras miecz o liście otarłszy, rzekł do niej:

— Siadaj waćpanna na konia ze mną.

— Milcz psiel — jęknął umierający królewic — nie waż się ruszać tej dziewyl! Mnie zawdzięczasz wolność swoją!... ja w napadzie oblędu sam spaliłem i zniszczyłem co było moje... i teraz ginąć mi przychodzi! Nie byłbyś zmógł nigdy tej klingi! Zamek spaliłem i księgę podarłem... więc pozostała mi śmierć!...

— Milcz, ścierwo! — rzekł wojak srogi — i zdychaj conajprędzej!... Moją teraz potęga i przy mnie prawo.

— Prawo nie twoje — boś ty sam bezprawiem!

— A moją moc!

— Moc w ręce zaświecia!

— Przywołaj sobie legion aniołów ku pomocyl!...

— Króla - Ducha wołam!... on panem jędynym!... caesarem appello!...

A na te słowa umierającego wszczął się wieher potężny od osi świata, z jaskiń najwnętrniejszych Boreasza. Błady był by lilia Hamlet konający, a Ofelja czoło skrwawione mu ocierając jedwabnym facyletem, zbielełymi ustami szeptala pacierze. Zaś rycerz zasepony na mieczu się oparł i patzał w dal.

Zaszumiały nagle wody Wilji, potężnie zmacone; brodząc przez białe fale, szedł bliżej coraz olbrzym podniebny w postaci Krzysztofora, okropny w swej wychudłej nagości, długą brodą owiany. Podpierał się sosną wyrwaną gdzieś u Krępaku, a na pochyłych barkach dźwigał z wysiłkiem promienie dzieciątka Jezus. Więc pomniąc, że ów Król - Duch Narodu nagim był i ciężko dźwigał, a nie wiedząc co dźwiga, dźwigał Chrystusa.

Wtedy gasnący Hamlet głosu ostatniego dobył z krtani:

— Królu miłościwy... czyż jego ma być ona, której niegdyś ślubowałem?... czy jemu przeznaczona czynu nowego budowa?

— Siła przy mnie — rzekł hardo pancerny — i moja ona, słuszną zdobyczą.

A olbrzym oparty o sosnę swoją rzecze Hamletowi:

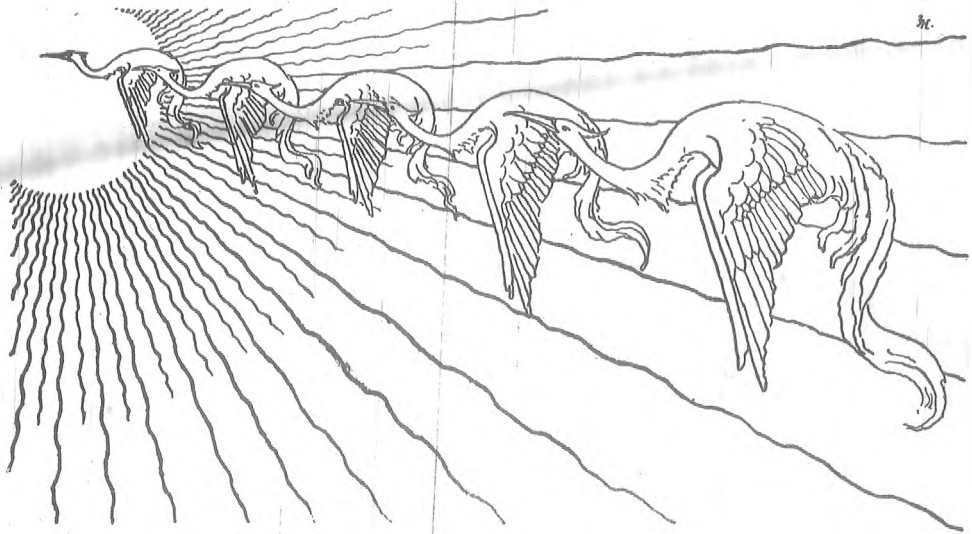
— Tyś mi synem był marnotrawnym. Wiernym jej byleś za młodu, a później na los szczęścia ją puściłeś. Tyś mi splugawił Akropolis pamiątek!

— Ja!... ja to zrobiłem, królu!... ale jam miał poznać Klaudjuszowe gadziny! — krztusił się umierający.

— A kiedym ci kazał poznać ich, trzeba było sępów czarnych myśli swoich wypuścić z okien wieżyc i kazać im świat oblecieć. A tyś wpuścił świat w święte progi. I los twój zapadł na zawsze. Już musiałeś spalić zamek święty; ale nie twojem przeczuciem budowla nowego, nie w twojem ramieniu potęga!... postawi go ten, co w skorupie starego kościola ukryty zachował siły rozrosłe. Jemu się dziewa ta zacna należy.

Ale ty hardy wojaku, nie myśl, żeś tu panem i samodzierzą. Moimi wyście wszyscy i moje prawo wiecznie trwać musi nad wami. Ja byłem i będę, a wy się rodzicie i giniecie. Na prawie lennem wyście u mnie i nikt z was nie wie, kiedy chwila wyjścia jego nadeszła i kiedy go znów z posterunku odwołam. Twoją będzie zacna ta dziewa, jeśliś godzien tego. Jedź w świat daleki i wyteż swe ramię! — won! a nie waż mi się pod oczy bez czynu!

I rękę zylastą w dal wyciągnął. I stał niby góra olbrzymia, wsparty na sosnie swej królewskiej; a dziecię na barach jego jaś. To by śko przezroczyste. Ściekiem marnym wydawała się rzeka u stóp jego i kretowiskiem wzgórze zamkowe. W oczach tej wspaniałości spuścił rycerz na twarz szyszak pokryty i siadłszy spieszno na konia, kopnął się w światła za posłannictwem nadanem. A biała Ofelja, cudna w swej piękności nieziemskiej, ręce złożyła i klęka modlić się nad zwłokami Hamleta.



# OGRODNIK

RABINDRANATH TAGORE.  
Z ANGIELSKIEGO PRZEKŁADU AUTORA SPOLSZCZYŁ  
JAN KASPROWICZ.

## PRZEDMOWA AUTORA.



Przeważna część pieśni o miłości i życiu, zawartych w tej księdze, powstała przed zbiorem poematów religijnych „Gitanjali.”

Przeład angielski nie zawsze jest dosłowny, oryginały częstokroć skrócono, a miejscami sparafrazowano.

RABINDRANATH TAGORE.

**SŁUGA:** Okaż miłosierdzie swojemu słudze, królowo!

**Królowa:** Minęło święto i wszystka ma służba już się rozeszła.

Dla czego ty w tak późnej przychodzisz godzinie?

**Sługa:** Kazałaś pójść innym, to czas przyszedł na mnie.

Przybywam, by się zapytać, co czynić ma jeszcze ostatni twój sługa.

**Królowa:** Czego ci oczekiwać, gdy już zapóźno?

**Sługa:** Każ mi być ogrodnikiem w twoim ogrodzie miłości.

**Królowa:** Cóż to jest za szaleństwo?

**Sługa:** Zrzeknę się swej pracy poprzedniej.

W proch rzucę miecz swój i dzidę, Nie posyłaj na dalekie mnie dwory. Nie każ mi na nowe, zwycięzkie wyruszać wyprawy, a jeno każ mi być ogrodnikiem w twoim ogrodzie kwiatowym.

**Królowa:** Jakież będą twe obowiązki?

*Sluga:* Służyć ci będę w godzinach twoich wywczasów.

Dbać będę o świeżość trawników, po których przechadzasz się z rana, gdzie każdy krok twoich stóp witają radośnie śmierci żądne kwiaty.

Kołysać cię będę w huśtawce pomiędzy gałęzmi saptaparny,<sup>1)</sup> gdzie wczesny księżyc wieczorny usiłuje całować kraj twojej szaty.

Wonnym olejem napełniać będę lampę, płonąca u twego łóża, i maścią z sandału i szafranu w przedziwne namaszczać wzory podnożek twych nóg.

*Królowa:* A jakiej żądasz zapłaty?

*Sluga:* Niech mi będzie wolno drobne twe piastki przesuwac, jak pąkowie lotosu lub kwiatów wiązanki, po twoich członkach, pięty nóg twoich zabarwiać sokiem z kwiecica Ashoki<sup>2)</sup> i scałowywać ślady pyłu, gdyby śmiał jeszcze zatrzymywać się na nich.

*Królowa:* Spełnione twe prośby, mój sługo. Zostaniesz ogrodnikiem w moim ogrodzie kwiatowym.

„POETO, ZBLIŻA SIĘ TWÓJ WIECZÓR; włosy twoje siwieją.

„Czy słyszysz w samotnej zadumie nowinę, idącą stamtąd?”

„Jest wieczór,” powiedział poeta, „i ja nadsluchuję, ponieważ może zawołać ktoś ze wsi, jakkolwiek już późno,

„Czuwam, czy nie spotkają się z sobą dwa serca błądzące i czy dwie pary ócz stęsknionych nie poproszą o muzykę, coby przerwała ich milczenie i przemówiła za nie.

„Któż będzie składał gorące im pieśni, gdy ja siedzę na brzegu żywota i dumam o śmierci i o tem, co jest poza nami?”

„Uchodzi wczesną gwiazda wieczorna.

Błask pogrzebnego ognia zamiera zwolna na rzece milczącej.

„Z dziedzina opuszczonej sadyby szakale wyją chórem w świetle znużonego księżyca.

„Jeśliby jaki wędrowiec, opuściwszy swą domowinę, przybył tu, ażeby czuwać po nocy i z głową schyloną nadsluchiwać szelestów ciemności, któż szeptałby uszom jego o tajemnicach żywota, gdybym ja, zamknawszy drzwi poza sobą, zechciał uwolnić się od więzów doczesnych?”

„Mało to znaczy, iż włos mój siwieje.

„Jeszcze-ci ja tak młody, albo tak stary, jak najmłodszy, albo najstarszy w tej wsi.

„Jedni mają uśmiechy słodkie i proste, a inni łyzy swe skrywają w ciemności.

„Wszyscy mnie potrzebują i ja nie mam czasu zastanawiać się nad tem, co będzie po tym żywocie.

„Ze wszystkimi w jednakich ja latach, cóż z tego, że włos mój siwieje?”

<sup>1)</sup> Alatonis scholaris — siedmioliść.

<sup>2)</sup> Açoka — Joneisa anika, drzewo, poświęcone bóstwu Sziwie, według legendy zakwitające za dotknięciem stóp niewieścich.

O PORANKU ZARZUCIŁEM SIEĆ swoją w morze.

Wyłowilem z ciemnych głębin rzeczy przedziwnego kształtu i przedziwnej piękności, niektóre jaśniały, jak uśmiech, inne żagwiły się, jak łuny, a inne płonęły, jak lice oblubienicy.

A gdy z łupem dnia powróciłem do domu, uświadoma moja siedziała w ogrodzie i spokojnie obrywała listki z kwiecica.

Zawahałem się na chwilę, a potem u stóp jej złożywszy wszystko, com przyniósł, stanąłem w milczeniu.

A ona spojrzała na to i rzekła: „Cóż to za dziwne są rzeczy? nie wiem, na co przydać się mogą!”

Pochyliłem głowę, zawstydzony, i pomyślałem: „nie bojowałem-ci ja o to, nie zakupilem tego na targu, nie dary to odpowiednie dla niej.”

Potem noc całą wyrzucałem to wszystko, jedno po drugim, na drogę. Z rana przyszedli wędrowcy, pozbierali to i do cudzych zanieśli krajów.

ACH CZEMUŻ ZBUDOWALI DOM mój przy drodze, wiodącej na targowisko?

Z ładownemi łodziami zatrzymują się obok mych drzew.

Przychodzą i odchodzą i wędrują do woli.

Ja siedzę i przyglądam się im, a czas mój ucieka,

Odpędzić ich nie mogę, i tak mijają me dni.

Dniem i nocą słysząc odgłos ich kroków u drzwi mych.

Daremnie wołam: „Ja was nie znam!”

Jedni znani są mym palcom, inni mym nozdrzom, widać, że zna ich krew w moich żyłach, zaś inni znani są moim snom.

Odpędzić ich nie mogę. Przyzywam ich i mówię: „Wstępujcie w mój dom, komu wola! Tak! chodźcie!”

Dzwon z rana dzwoni w świątyni.

Przychodzą z koszami w ręku.

Stopy ich czerwone jak róże. Wczesny brzask świtu lśni na ich twarzach.

Nie mogę ich odpędzić. Przyzywam ich i mówię: „Wstępujcie w mój ogród rwać kwiaty. Wstępujcie!”

W południe gong dzwięczy u bramy pałacu.

Nie wiem, dla czego porzucili swą pracę i stoją u mego opłocia. Kwiaty w ich włosach zblakły i zwiędły. Tony ich fletni trwożliwe.

Odpędzić ich nie mogę. Przyzywam ich i mówię: „Chłodno jest w cieniu mych drzew. Chodźcie, druhowie!”

Nocą świerszcz ćwierka po lasach.

Któż to tak zwolna zbliża się do mych wrótni i stuka po cichu?

Zaledwie widzę oblicze, nie słycać ani słowa, cisza niebiosów naokół.

Odpędzić gościa milczącego nie mogę. Patrzę mu w twarz poprzez pomrok i snu godziny minęły.

NIE MAM SPOKOJU. Spragniony jestem rzeczy dalekich.  
Dusza moja wędruje, pełna tęsknoty, aby się dotknąć okraju ciemnej oddali.

O wielkie pozaświecie! O przenikliwe wołanie twej fletni!  
Zapominam, wciąż zapominam, że nie posiadam skrzydeł, aby ulecieć, że przywiązany-m na wieki do miejsca!

\* \* \*

Pożądam i czuwam, obcy jestem w obcej krainie.  
Przyływa ku mnie twe tchnienie, by o niemożliwej szeptać mi nadziei.

Język twój przemawia do mego serca, jakby to jego własny był język.

O celu daleki, daleki! o przenikliwe wołanie twej fletni!  
Zapominam, wciąż zapominam, że nie znam drogi, że skrzydłatego nie posiadam rumaka!

\* \* \*

Nie znam spoczynku, jestem wędrowcem po własnym mem sercu.  
W słonecznych omzach godzin leniwych jakżeż potężnem widzeniem staje się postać twa pośród błękitów niebieskich!

O celu daleki, o przenikliwe wołanie twej fletni!  
Zapominam, wciąż zapominam, że zamknięte są wszędzie bramy w domu, w którym ja mieszkam samotnie.

(C. D. N.)



## KOŚCIUSZKO W ŚWIETLE MESYANIZMU POLSKIEGO

Wiarę w nadprzyrodzone, opatrnościowe posłannictwo Kościuszki, roznieciło w literaturze polskiej XVIII wieku przedewszystkiem kaznodziejstwo.

To, że *origo eius divina*, głosił w patryotycznych kazaniach w Warszawie, Wilnie, Lublinie, najwybitniejsi kaznodzieje ówczesni: XX. Karpowicz, Dębski, Witoszyński, Gumkowski, Choromański, Hajewski, Lewkowicz, — sławiąc w Kościuszcze „wodza, którego wieki tylko wydawać mogą, a jedne drugim zazdroszczą“, <sup>1)</sup> i wskazując w nim „Anioła, zesłanego z ramienia Opatrzności“ <sup>2)</sup>.

Głoszono, że „Najwyższy Naczelnik, wsparty Wszchemocnego prawicą jak drugi Mojżesz“ <sup>3)</sup> porównywano go z Mojżeszem, Jozuem, Giedeonem, Samsonem, Salomonem, Dawidem, Matatyzaszem, Judą Machabeuszem.

Poeci, ludzie świeccy, zwali go: Kamillem polskim, drugim Wilhelmem Tellem, Washingtonem polskim, mężem boskim, bóstwem. — W apoteozie zaś Książnina, staje On,

„Bogaty w cichej postaci,

Z ęnotą na ziemi, a ufnością w niebie“ —

jako „niewinny Baranek“, „zbawca... od śmierci wiecznej i od władzy piekła“ <sup>4)</sup>.

Grom maciejowicki przysłuszył wiarę w nadprzyrodzone posłannictwo Kościuszki. — Po śmierci jego odżyła ona znów, wśród uwielbienia, jakim naród otoczył pamięć Najwyższego Naczelnika — w kraju i na emigracji.

Najpiękniejszą atoli glorią i najgłębszym kultem osnuła imię Kościuszki mesyanistyczna myśl polska, — podnosząc głównie jego zalety duszy.

<sup>1)</sup> X. Stanisław Henryk Lubicz Choromański: *Kazanie w dzień trzeci maja na zaczęcie czterdziesto-godzinne, nabożeństwa z okoliczności powstania narodu polskiego przez...* w Akademii krakowskiej obojga prawa doktora, w kościele Panny Marii. Warszawa, 1794.

<sup>2)</sup> X. Daniel Hajewski: *Mowa pogrzebowa na żałobnym nabożeństwie za dusze chwalebnie poległych w obronie Ojczyzny, mianowicie w dniu zwycięskim 28 sierpnia 1794 roku przez obywateli miasta wolnego Warszawy cyrkułu I w kolegiacie Ś. Jana 16 września odprawionym. Miana przez obywatela X. Daniela Hajewskiego Ś. A. W. rektora w Warszawie.*

<sup>3)</sup> X. Antoni Stanisław Lewkowicz: *(Kazanie) Z okoliczności powstania Wielko-Polanów i odstąpienia z pod Warszawy Prusaków i Moskalów, miane dnia 28 września 1894 w kolegiacie lubelskiej przez...* komisarza W. X. Ł.

<sup>4)</sup> Ob. pracę Ignacego Górskiego: *Kościuszkę w literaturze polskiej XVIII wieku. Lwów, Przewodnik naukowy i literacki, r. 1914 — zeszyt VII i VIII; r. 1916 — zeszyt I i II.* — Cytat z Książnina przytacza I. Górski z niewydanego rękopisu ody XI księgi *Liryków*.

Jeden z najpoświęceńszych ludzi, żołnierz i wieszcz, Seweryn Goszczyński, przez długie lata rozmyślając o „sprawie polskiej“, u schyłku życia z bólem stwierdzał: „brak człowieka, któryby umiał, zdołał skupić żywotne siły Polski.“ Żaden z wodzów powstań nasyżych w XIX wieku — zdaniem jego —: „nie okazał się godnym Kościuszki, chociażby na niższym szczeblu“: żaden mu nie dorównał „wysokością moralną“ ducha <sup>1)</sup>.

Mickiewicz w *Pielgrzymie Polskim*, w r. 1832, w artykule „O przyszłym wielkim człowieku“ upowszechnił wiarę, że „spodziewany Mészasz narodowy“, „któryby wołę mas odgadł i oczekiwaniom ich zadość uczynił“, musi być podobny Kościuszcze. Jeśli ma pozyskać tak wielką popularność i szacunek tak powszechny, jakim otoczone są dwa tylko imiona: Washingtona i Kościuszki, — „pierwszym warunkiem przyszłego wielkiego człowieka musi być ta szlachetność charakteru, ta serdeczność, ta dobroduszość, która Kościuszcze i Washingtonowi zjednała miłość społecznych i szacunek potomnych.

Współcześni piewcy zwycięstw Naczelnika insurrekcyi narodowej, Feliński, Bielawski, Książnina, — szukając dla Kościuszki porównań w dziejach ojczyźtych, zestawiali go: z Zamoyskim, Chodkiewiczem, Czarnieckim. — Mickiewicz w Prelekcjach swych w Collège de France (15 marca 1842 r.) rzucił myśl nową, głęboką —: iż „Kościuszkę w tak uderzający sposób przypomina Piasta...“ Bo podobnie, jak — wedle legendy — przy wyborze Piasta, — „naród jednym razem wrusza się, otacza go i daje mu władzę nieograniczoną“. I, jak Piast, Kościuszkę „jest to człowiek w sukmanie chłopskiej, żyjący wśród ludu, i tak pełen prostoty, że będąc dyktatorem Rzeczypospolitej, odmawia sobie jeszcze szklanki wina. Lubił on kiedyś wino burgundzkie, i kiedy jego adjutant Ogiński pytał, czemu tego wina nie miewa na jeść, odpowiedział, iż to godziłoby się Ogińskiemu, bo jest pan bogaty; ale on, dyktator, płacący groszem Rzeczypospolitej, nie może sobie tego pozwalać. — Poeta szambelan Trembecki, przyjechawszy raz karetą z wizytą do dyktatora, zastał go w kuchni, rozdymiającego ogień...“

Kościuszkę przypisywał Mickiewicz pochodzenie z rodziny Piastów. A wysnuwając etymologię nazwiska Piasta od: *piastowac*, następnie: *tono*, *piers*, etymologię zaś nazwiska Kościuszki od: *kości*, — tak kończył porównanie: „I kiedy naród wołał Piasta na tron, kiedy brał sobie na wodza Kościuszkę, można

<sup>1)</sup> Cytaty z Goszczyńskiego podają z niewydanych notat p. t. *Sprawa polska*, uwzględniając szczególnie zeszyt z napisem: *Napoleon i Kościuszkę*.

powiedzieć, że wykonywał słowa Pisma św., które mówi: „weźcie ciało z ciała mego, kość z kości mojej“...

Pogląd, jaki Mickiewicz w Wykładach po improwizatorsku rzucił, zestawiając Kościuszkę z legendowym pierwszym Polski wodzem Piastem, stał się jednym z zasadniczych punktów religijnej wiary i religijnego kultu tych, których pod hasłem „Sprawy Bożej“ zrzucił w Paryżu w r. 1841 Andrzej Towiański. A Mickiewicz był wtedy wdzem „Koła“ braci.

Wedle wierzeń towianizmu, opieranych na Apokalipsie św. Jana, ludzkość czyni Sprawę Bożą, realizując myśl i wolę Bożą, — i postępuje wzwzysł ku Bogu epokami, niby etapami. Na każdą epokę zsyła Bóg światu jako przodownika jakiegoś wielkiego ducha.

Towiański, ogłaszając „Sprawę Bożą nowej epoki chrześcijaństwa“, uważał się za „sługę Bożego“ którego misją jest ugruntować czynne życie chrześcijańskie, praktykę myśli i woli Bożej nie tylko w życiu indywidualnym, ale i w zbiorowym, społecznym, w stosunkach międzynarodowych, w polityce.

W tych szczytnych usiłowaniach niebieskiej pomocy szukali towiańczycy u duchów: Napoleona i Kościuszki, dwóch swych świętych przodowników.

Kult dla Napoleona był w Kole wcześniejszy a także bardziej entuzjastyczny, — głównie za sprawą wodza Koła, Mickiewicza.

W Napoleonie uznawano bowiem poprzednika „męża epoki“, Towiańskiego. Wierzono, że „Napoleon skupia w sobie wszystkie świętości nowej epoki, — jest świętym całej epoki, jest jej ideałem jako duch.“ Jak Chrystus jest ideałem świata po wszystkie czasy, tak Napoleon jest ideałem epoki, której był prekursorem, — i na której bieg spraw dominujący wpływ wywiera z zaświata, działając natchnieniem na żyjących, co w duchowym są z nim związku. Tak też dopełnia misji swej, zaniedbanej za życia.

Jak Chrystus tchnął w świat „ruch miłości“, tak „Napoleon objawił mu ruch mocy czyli realizowania miłości Chrystusowej“. W tem jego wielkość i znaczenie niezwykle, zwłaszcza dla wiotkich Słowian-Polaków, co „nie zasnali dotąd tonu mocy Chrystusowej“. Przeto też żarliwe nabożeństwo towiańczyków do Napoleona miało na celu: przejęcie się jego „tonem mocy Chrystusowej“. A modlitwa — zdaniem Towiańskiego — jest to nie sławienie Pana Boga wargami, ale „ruch ducha, który ofiaruje Bogu siebie i ciało swoje“. Prawdziwa modlitwa jest „modlitwą czynu.“<sup>1)</sup>

Stosunek towianizmu do Kościuszki, — który nas tu szczególnie obchodzi — był analogiczny. Dla określenia go materyał znajdujemy przede wszystkim w *Pismach* (Turyn, 1882; 3 tomy) samego Mistra oraz w rękopiśmiennych notatach jednego z „wieszczów Sprawy Bożej“, Seweryna Goszczyńskiego. Preceptorem był oczywiście sam Towiański, który także przemieszkiwał w Solurze w r. 1844, i w tem miejscu zgonu Kościuszki wykladał gromadzącym się wokół niego nadprzyrodzone posłannictwo „wielkiego urzędnika Bożego“, którego duchowego testamentu realizowanie — jak świadczył — też przyjął.

Z inicjatywy mistra zajął się wtedy Romuald Januskiewicz wraz z kilkoma innymi braćmi odnowieniem grobowca Kościuszki w Zuchwilu. — Na pomniku umieszczono metalowy medalion Kościuszki, ślicznej roboty David'a d'Angers, z napisem w okółu: „FRATRES PATRI SUO. DIE XV OCTOBRIS MDCCCXXXIV.“ Na czole zaś kulistego wierzchołka pomnika utwierdzono złożoną gwiazdę promienistą. Wokół grobowca zasadzono dwie wierzby płaczące. — W grobowcu zuchwilem i mieszkaniu Kościuszki w Solurze złożył Januskiewicz imieniem Koła w uroczystym tonie na pergaminie spisany „Ślub Polaków“. <sup>1)</sup> — W tych uroczystościach, rocznicy śmierci Kościuszki (15 października) i odsłonięcia odnowionego grobowca Kościuszki (22 października), sam Towiański nie wziął udziału, opuściwszy Solurę 8 października 1844 r. na skutek zawezwania rządu kantonalnego, co go podejrzewało o niebezpieczną akcję polityczną, a obawiał się ingerencji ambasadora rosyjskiego w Bernie, Kruednera.

<sup>1)</sup> „Ślub Polaków na grobie Kościuszki uczyniony, w grobie i miejscu skonu Kościuszki złożony:

Urzędniku Boży! na zmartwychwstanie Polski i na życie w Polsce Słowa Bożego!

Opuszczając miejsce święte, gdzieś przyczystą ofiarę Twą dla Boga i Ojczyzny wypełnił, — w spółce Braci, którzy przyjęciem Woli Bożej powtórnie Twe dowództwo przyjmują,

ślubujemy Tobie snuć przez wieki nasze miłością naszą nie najświętszą, którąś ofiarą Twą, wypełnioną u źródła Miłosierdzia, przyjął i podał Narodowi, Urzędnikowi Słowa Bożego, na wieki żyty żywot jego. Ślubujemy Chorągiew Chrystusa, prawdy i wolności, ofiarami w nas Chrystusowemi dźwigać w najświętszym jej chodzie dla poprawienia ludom, co się w wiekach mocą zepsuło.

A ta Nić, Chorągiew, ten Ton Chrystusa, w wielkim zwocie Polaka prywatnym i publicznym przez wieki trzymamy, stać się ma przez wieki tryumfem i radością duchowi Twojemu, Urzędniku Boży! stać się ma przez wieki posadą wielkości i szczęścia wielkiemu w myśli Bożej ludowi.

Solura Roku 1844.

Miesiąca października, 15 dnia“.

Ob. Romuald Januskiewicz: *Extraits de lettres et documents. (1844 — 1865). (Action et souvenirs de quelques seruteurs de l'Oeuvre de Dieu. Premier cahier). Wydał Attilio Begy. Turyn, 1913.*

<sup>1)</sup> Z pisma Mickiewicza do Koła, 7 kwietnia 1844 r. — Goszczyńskiego: *Dziennik Sprawy. (Rękopis)*

Niezawodnie też w r. 1844 wydało Koło odezwę dla przypomnienia rocznicy śmierci Kościuszki. Fascymile tej rzadkiej odezwy podajemy ze zbiorów kościuszkowskich Muzeum Narodowego w Rapperswilu. — Przez widniejący na niej portret jest ona również ciekawą dla ikonografii kościuszkowskiej. Był to wśród braci ulubiony portret Kościuszki. Na twarzy anielski zachwyty, „z oczyma podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma“ — jak, „gdy przysięgał na stopniach ołtarzów...“



TADEUSZ KOŚCIUSZKO

W dniu 15<sup>ty</sup> października, przypada rocznica zgonu s. p. TADEUSZA KOŚCIUSZKI.  
Dzień ten przeznaczony na uczczenie pamięci Wodza, który jako Podarmnik Boży dla wyjarmienia i odrodzenia Polaki, dokonał pełnej Swojej Bogu i Ojczyźnie ofiary trzymając wysoko i niewzruszenie do ostatnich chwil swego żywota — przeczyszczył Sztandar Polski i Chrześcijański — Sztandar ten Prawdy i Wołności — dźwigajmy dalej poświęceniami naszymi, aby się stał tryumfem, radością i posiadaniem wielkości i szczęścia, wielkiemu w umyśle Bożej ludowi.

Rocznice śmierci Kościuszki święciło Koło wspólnym udziałem we mszy św. i rozważaniem cnót swego „nadziemskiego Opiekuna.“ Do domu zaś Kościuszki w Solurze i do grobowca jego w Zuchwilu z nabożeństwem pielgrzymowali bracia licznie, — czerpiąc tam zasilek duchowy. — Goszczyński w r. 1847 trzy dni u grobu Kościuszki spędził.

Na tym grobie „nieśmiertelnej pamięci chrześcijańskiego Bohatera Polski“ zęgnął Towiański uczniów swych, udających się w r. 1863 do Polski, wraz z 74-letnim „bratem-wodzem“, Karolem Różyckim, w r. 31 sławnym dowódcą jazdy wołyńskiej. — „Chrze-

ścijańską i polską biesiadą dusz i serc<sup>4)</sup>, w pobożnym rozpamiętywaniu duchowej wielkości Wodza Polski, umacniał ich Mistrz i siał w bój jako „sługi Chrystusa i żołnierze Kościuszki“ — którego pomocy, jako „Opiekuna, Stróża i Hetmana Polski“, wzywał dla nich — „naprzód dla zdobycia w samychże rodakach naszych ojczyzny chrześcijańskiej na złem zarządzaniem polskiego ducha ich, — a potem dla zdobycia tejże ojczyzny na widomych narzędziach złego“<sup>1)</sup>. —

Gdy jako ton ducha Napoleona oznaczano „moc Chrystusową“, energię czynu, jako wykładnik tonu ducha Kościuszki widzieli zgodnie Towiański, Mickiewicz i Goszczyński: dobroduszość, łagodność, serdeczność, rzewność, pokorę, prostotę, czystość, — miłość Boga, Ojczyzny, prawdy, sprawiedliwości i wolności.

Było zasadniczym wierzeniem nie tylko mesyanistów, zgrupowanych przy Towiańskim, ale wszystkich głębszych dusz polskich wszystkich czasów, że nasza niewola polityczna jest w związku z naszą niewolą duchową, — jest jej skutkiem.

Sam Kościuszko nawoływał: „Gdy podli będziemy, chciwi, interesowni, niedbający o kraj swój, słusznie, abyśmy potem mieli kajdany na szyjach. Od nas samych zależy poprawa rządów, — od obyczajów w naszych.“

Fundamentalnym zatem środkiem odrodzenia Ojczyzny jest owo — wedle rady Mickiewicza — powiększanie i polepszanie dusz własnych, odrodzenie duchowe, oparte na żywym życiu religijnym.

Jeden z naszych najgłębszych nauczycieli narodu, a najgorliwszy sługa Sprawy, Goszczyński, nauczał, że „nie zrobi Polsce nic dobrego, kto siebie dobrym nie zrobi; nie przyłoży się niczem do zbawienia, do odrodzenia, do postawienia Polski, kto samego siebie nie odrodzi, nie postawi w życiu prawdziwie polskiem“, chrześcijańskiem.

Przeto też kult, jakim w towianizmie otaczano Kościuszkę, dotyczył głównie jego cichych ofiar i czynów ducha, „na które tylko Bóg patrzył“, a znanych mało komu ze współczesnych; — z drugiej połowy jego życia, czasy dwudziestoletniego tułactwa, samotności, opuszczenia, niezrozumienia przez swoich i rzekomej bezczynności — w dobie olbrzymiej burzy wojennej, Polskę wskroś i wszerej przeorywującej.

<sup>1)</sup> Andrzej Towiański: *Pisma*, Turyn, 1882, T. III, str. 124 — 127. „Pożegnanie na grobie Kościuszki“.



## MISCELLANEA.

## Stanisława Przybyszewskiego „Poznań ostoją myśli polskiej“.

Zdrój przyrównał książkę Przybyszewskiego „Szlakiem duszy polskiej“ do utworu Antoniego Chołoniewskiego „Duch dziejów Polaki“. Z obu tymi dziełami można jeszcze także zestawzić książkę „Poznań ostoją myśli polskiej“. Jeden i ten sam duch, mający w „Ideje polskiej“ Stanisława Szczepanowskiego wyprzedzając, przenika wszystkie wymienione utwory.<sup>1)</sup> Różnica polega na tym, że sposób pisania Chołoniewskiego jest czasem nieco dobroduszny, Przybyszewskiego znowu czasem mocno impresjonistyczny, lecz obu pisarzy owiało to samo tchnienie, ta sama gorąca miłość wszystkiego, co polskie, i co warte, żeby pozostało takim na zawsze.

„Poznań ostoją myśli polskiej“ ma wprawdzie na oku pewną tylko dzielnicę Polaki, ale może służyć jako pobudka dla całej Polaki, dla całej nowej młodej Polaki, dla przyszłej Polski. A choć z żalem przychodzi nam pomyśleć, że Przybyszewski jakoby tylko z daleka błogosławił nowemu ruchowi umysłowemu w Wielkopole, a nie chciał w nim stalego brać udziału, to równocześnie można sobie też powiedzieć, że tak jest dobrze. Niech ruch się nowy rozwija sam, niech młodzi radzą sami.

Czytając książkę Przybyszewskiego, zapomniał się z radością o tym, co tak niedawno w pismach jego razilo uczucie, maciło myśl, a wolę do buntu wzywało. Zapomniał się też, że wielki pisarz nasz niegdyś zdawał się być zwolennikiem Nietzschego, tej „jasnowłosej bestji“, w której Nietzschę sam upatrywał swój ideał. Przybyszewski przestał być egoistą, satanią i wszystkim tym, co byśmy chętnie nazwali niepolskim. Przecie mistrz nasz m. i. teraz w tej najnowszej książce powołuje się na słowa Mickiewicza: „Śpiewać swojej ziemi i swojemu narodowi, jest to nic innego, tylko objawiać myśl Bożą, jaka na nich spoczywa.“ Dalej zaś pisze: „Ze skrucłą przynaję się do fatalnego błędu, jaki popełniłem w moim osławionym manifestie „Confiteor“, gdy pisałem przed dwudziestu laty: „Sztuka dla ludu? Dajcie mu chleba, sam sobie drogę do Sztuki odnajdzie!“ To przyznanie do winy jest piękne, ale tylko częściowo słuszne. Sztuka jest przeznaczona dla ludu, dla słuchaczy. Nie może się jednakże poniżyć, by znaleźć uznanie, powinna zawsze podnosić. A lłu, nie powiem już z ludu, ale z tłumu podatnych jest, by być podniesionym? W tłumie zwycięża nader często operetka, melodramat, plówka artystyczna, zwana czy to powieścią, czy romansem. Najgorszą bywa tu nawet, nie tłum już, a tłuszcza pseudointeligentów, nieraz tęgich pracowników w swoim zakresie, żądająca wprawdzie dla swojego zajęcia pełnego poszanowania, a odmawiająca go poplecnikom nowych prądów w sztuce, dla których to poplecznictwo stanowi zadanie życiowe.

Sztuka jest przeznaczona dla ludu, dla wszystkich. Jako taka winna podążać z czasem, winna móżdż dać wyraz wszystkiemu, co pomyśli głowa, co serce poruszy i co napręży wolę, winna unieść się i ku najwyższemu wlotom ducha. A są wloty ducha, do których nie każdy wznieść się potrafi, nie każdy wznieść się koniecznie zobowiązany. Czyż to wszyscy ludzie bez wyjątku z korzyścią mogą czytać „Boską Komedję“ lub „Króla Ducha“, odczuć całe piękno i znaczenie dzieła czy to praerafaelyty, czy to ekspresjonisty i t. p., poddać się aż do upojenia wstrząsającemu wrażeniu którejkolwiek wzniosłej symfonji! Przecie nie inaczej dzieje się w nauce. Czyż tak łatwo znajdzie się osobnik zdolny, by osądzić wszystkie dociekania filozoficzne, albo zgłębić wyższą matematykę, metamatematykę, wyższą mechanikę, stereochemię, zagadnienia astronomiczne i t. p.?! Hasła nauka dla nauki, lub sztuka dla sztuki nie przeczą wcale hasłom nauka dla ludzkości i sztuka dla ludu, dla bliźniego, ale dają prawo umysłowi, duszy, duchowi do sięgania do szczytów i ponad szczyty. Kto nie rozumieją tego, drwi, należy do tłuszczy. Kto natomiast jest wprawdzie ubogi w duchu, ale świadom tego, że istnieje niedostępne dlań Królestwo Ducha, ten już na nie zasłużył.

Sztuka jest dla wszystkich: jest więc katolicką w dosłownym znaczeniu. Katolicką jest też nasza religja, jest nim kościół w Rzymie<sup>2)</sup> i w naszym sercu. Czy jest nim zawsze i wszędzie kler, zwłaszcza ten, który zwalcza w nieopatrzny sposób nowe prądy czy to w sztuce, czy w nauce? Społeczeństwo nie może być utrzymane na poziomie umysłowym organistów i innych sług plebanji i kościółków parafjalnych. Nawet to ubogie w duchu, przez obcych tak nazwane, ale nigdy przez nich nie uznane „Wielkie Księstwo Poznańskie“ ma prawo do szerszych, wyższych wlotów, do rozwinięcia skrzydeł na całą Polskę, na cały świat. —

By zrozumieć i uznać to, cośmy przed chwilą usłyszeli, należy z Hulewiczem pamiętać o tem, „że kto Polskę w sercu nosi, ten nie odrywa się z niechęcią o jakimkolwiek wzniosłym jej porywie, choćby praca jego narodoza w zgola przeciwnym szła kierunku. Zdanie to uzupełnia Hulewicz jeszcze w następujący sposób: „To też wiadomą jest rzeczą, że do zagadnień kultury z przekąsem i niechęcią nie odnosi się żaden prawdziwy narodowy pracownik, choćby główna jego praca żadnego z tą kulturą nie miała związku, ale niechęć ta i odraza tkwi w jednostkach, odnoszących się do każdej pracy społecznej z leniwym ramion wzdrygnięciem“.<sup>3)</sup>

Rozwiódłszy się nieco dokładniej nad znaczeniem książki Przybyszewskiego, wskażemy tylko krótko na podział jej treści. Po wstępie, po czymś nakształt „Confiteor“ lub „Pro domo mea“ następuje odczyt-pobudka: „Poznań ongi sercem Polski i jej duchową stolicą.“ Dalejsze rozdziały i zakończenie poświęcone jakoby tryumfowi, że z powstaniem Spółki „Ostoja“ i pisma „Zdrój“ pobudka spełniła zadanie, że pragnienia się „urczywizna“.

<sup>1)</sup> Książkę Stanisława Brzozowskiego „Ideje“ i „Legenda młodej Polski“ nie wymieniam tu naumyślnie, gdyż nie podzielałem z innymi bezwzględniego podziwu dla nich. To, do w nich dobre, jest jakby powtórzeniem hasła Szczepanowskiego bez wymienienia właściwego ich twórcy.

<sup>2)</sup> Artykuł Hulewicz. cytowany w książce Przybyszewskiego.

<sup>3)</sup> Rzym uznał Kopernikanizm i Renesans, choć początkowo zwalczał jedno i drugie. W nowszych czasach nawet Darwinizm i Lamarckizm znajdują w świątyni Zdroju obrońców (patrz pisma ks. kan. Salogowskiego).

Tryumfu, zaprawdę, Przybyszewski doczekać się powinien. Nie żąda od nas bowiem niczego więcej, jak tylko wyłączenia tego, co w nas najlepsze. Ma jednym słowem tę śmiałość, że nakazuje, abymy nie zakopywali talentu, którym nas obdarzył Pan. Miałbyż Przybyszewskiemu za to grozić los owego dzwonnika, którego powieszono za dzwonienie na trwogę miastu, zamiast wypaść po za mury i pobić wroga, lub wewnątrz murów w pogotowiu skutecznie się przed nim bronić? Czyżby słusznie Przybyszewski miał się obawiać niepowodzenia i wołać razem ze Słowackim:

„Panie, jeżeli zamkniesz słuch narodu,  
Daremnie człowiek swe głosy wyteżę;  
Choćby miał siłę i odwagę męża,  
Z niemilowania umrze — tak jak głodu!”

Wszystkim, którzyby do tego ręki przyłożyli, grozi sława Herostratów i Zoilów, w najlepzym zaś razie milczenie wieków.

Kazimierz Filip Wize.

**Pleśń o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke** napisaną przez jego potomka Rainera Marję Rilke od stworzył w języku polskim młody poeta Henryk Grube (E. Wende i Sp, Warszawa 1917).

Małeńka książeczka — a jak przedziwnie piękna, w której dzieje młodego korneta ujęte są przez autora w szereg fragmentów, pełnych poezji, mocy i czaru.

Na wstępie notatka: dzień 24-go listopada 1663 roku otrzymał w lenno szlachcic Otto Rilke pan na Langenau z rodu Linde pozostawioną przez poległego na Węgrzech brata swego a w udziale temuż przypadającą część dóbr Linde, musiał jednakże wystawić rewers, mocą którego lenno uznane być miało za nieważne w razie, gdyby powrócił brat jego Krzysztof. I dalej przesuwają się przed nami dzieje tegoż Krzysztofa — obrazy piękne, barwne, wyrażone z przedziwną mocą i jednością słowa przenikającego do głębi.

Niosą, niosą, niosą ich konie przez dzień, noc i dzień. Niosą, niosą, niosą.

Jakże zmęczenia pełne ich męstwo, jakże ogromną ich tęsknota! Już nawet gór nie widać, rzadka gdzieś tylko jakieś drzewo. Nic nie odważy się powstać. U zbaginionych studzien przykucały jakieś obce chałupy. Żadnej na widnokręgu wieży. Zawsze ten sam obraz. Człowiek ma dwoje oczu za wiele... Słońce tak cięży, jak u nas w skwarne lato. Ale my żegnaliśmy się w lecie. Długo jaśniały nam wśród zieleni kobiece szatki. I oto bez końca jedziemy. Więc też już jesień być musi. Przynajmniej tam, gdzie smutne białogłowy o nas wiedzą.

Pan na Langenau poprawia się w siodle i mówi: „Panie markizie...” Sasiad jego, mały delikatny Francuzik, przez całe trzy dni śmiał się i gadał. Teraz już na nic wpaść nie może. Jest jak dziecko, obce chałupy usnąć. Na jego cienkim, białym, koronkowym kołnierzu osiada kurz; on tego nie widzi. Więc dnie zwolna w swym aksamitnym siodle. Pan na Langenau uśmiecha się i mówi: „Dziwne są te wasze oczy, markizie. Zapewne podobni jesteście do matki.” — A młodzian raz jeszcze zakwita, strząsa pył ze swego kołnierza i staje się, jak nowonarodzony. Ktoś opowiada o swej matce. Powoli a dobitnie układa słowa. Jak dziewczyna, co kwiaty w bukiet wiąże i rozważnie kwiat z kwiatem porównuje a sama jeszcze nie wie, jak całość wypadnie: tak on spaja swe słowa. Uśmiecha? Cierpienie? wszyscy słuchają uważnie. Kto zaś w tej gromadzie niemieckiej nie zna języka, ten naraz rozumie i ~~niekiedy~~ podjęncze słowa: „wieczorem”... „gdym był małeńki”...

Tu wszyscy bliscy są sobie, i ci panowie, co z Francji przybyli i z Burgundji, z Niderlandów i z dolin Karyntji, z czeskich zamczysk i od Leopolda cesarza. Bowiem wszyscy to przeszli, co jeden opowiada i właśnie tak samo. Jak gdyby wszyscy razem jedną mieli matkę... I oto konie ponoszą ich w wieczór. W jakiś tam wieczór. Milczą znowu, ale jeszcze słowa mają za sobą.

Ognisko. Zasiadli dookoła i czekają. Czekają aż ktoś śpiewać zacznie. Lecz wszyscy są tak zmęczeni... Na twarzach rozpostarła się ciemność. A jednak oczy małego Francuza zapalają się na chwilę własnym światłem. Przycisnął do ust małą różę i oto niech dalej na piersiach jego wieździe. Pan na Langenau to widział, albowiem usnąć nie może. Myśli: ja nie mam żadnej róży, żadnej.

Milczą, aż Niemiec w głos mówi: Czemuż do licha w siodle waćpan sterczysz, po zatrutym się wleczesz kraju przeciw tureckim psom? Markiz uśmiecha się: „Aby powrócić”. Pan na Langenau pogrążył się w smutku. O jasnowłosej myśli dziewczynie, z którą się ongiś bawił.

Pewnego razu jeździec przybywa, a później więcej ich i więcej. W żelazo zakute obrzymy. Za nimi tysiące: to armja. Trzeba się rozstać. „Wracajcie do domu — panie markizie!” „Niechaj waszą mość, Marja ma w swej opiece.” — A rozstać się im trudno. Przyjaciółmi sobie naraz są i braćmi. Mogą sobie więcej zaufać; wszak tyle już o sprawach swych wiedzą. Zwlękają. A dookoła pospiech i tentent. Oto markiz rękawicę z prawej ściąga ręki. Wydobywa małą różę i płatek odrywa z niej jeden. Jakby łamał hostję. „To was ostoni. Bywajcie zdrowi.” Pan na Langenau staje zdumiony. Długo patrzy za Francuzem. A potem chowa obcy płatek pod kurtkę. Coś rozpiera mu serce. Sygnał trąbki. Jedzie do armji, junker. I uśmiecha się smutnie: obca go chroni kobieta.

Wreszcie przed obliczem Sporka. Pan na Langenau nie dopytywał się. Poznaje generała, zsiada z konia i uklon mu składa w chmurze pyłu. Przynosi pismo, które ma go polecieć hrabiemu. Hrabia rozkazuje. „Przeczytaj mi ten światek”. A wargi jego ani się poruszyły. Nie do rozmów są one; do rzucania przekleństw wystarczą. Resztę mówi prawica. Kropka. A znać to po niej. Młody pan dawno skończył. Nie wie już nawet, gdzie się znajduje. Spork jest nadzwyczajny. I niebo kędys ginie. Wtem Spork, wielki generał, powiada: „Kornet”. A to jest wiele.

Pan na Langenau w myślach utonął. List pisze. Stawia powoli duże, proste litery:

„dobra moja matko,  
„dumną bądźcie: chorągiew niosę,  
bez troski bądźcie: chorągiew niosę,  
miłujcie mnie: chorągiew niosę”. —

Potem chowa list pod kurtkę w najtajniejsze miejsce, obok płatka róży. Myśli: wkrótce list nabierze zapachu róży. Myśli: może go przecież ktoś kiedyś znajdzie... I myśli... Bo nieprzyjaciel jest blisko.

Spozynek! Gościem wreszcie być. Nie wciąż samemu aycić głód, w usta pchać jadła skąpy kęs. Porywy chrobre też przecie raz osłabną i w szatę spowite jedwabną, same się w sobie przelamią. Nie jako żołnierz zawsze być. Na wiatr rozpuścić pukle włosów, dławiący, ciasny rozpiąć kołnier, w jedwabnem miękkim usiąść krzesła i tak, aż do palców kończyn. Kąpiel wziąć zimną. Znowu doświadczać czem są kobiety, jakie tych białych i tych niebieskich są zalety; jakie też są ich rzadki i jak swym śmiechem dzwonia, gdy jasnówłose chłopczyki, zosycystryh gron pełne koszyki z różowych dłoni im ronia.

Zasiedli do obiadu. I nawet nie spostrzegli, jak w ucztę przeszli bogatą. Potężna burza głosów, czerwone płomienie ogniska, z za blasku szkieł dzika pieśń tryska przy dźwiękach tłuczonych szklanic i wreszcie z dojrzałych taktów: wypłynął taniec. I poszło z nim, co żyło. Wśród sal, głów cudnych fale, miłowne, ciche spotkania, upojne, słodkie oddania, światła lyskliwie opale — a wszystko letni kolysze wiew, co z szat przytulnych niewiaścł słodko technie. Z ciemnego wina i tysiada róż przelewa się z szelestem czas ku snom czarownej nocy.

Powoli gasną na zamku światła. Ocieżali są wszyscy: zmęczeni, zakochani lub pijani. Po tyłu beztreściwych, długich nocach w polu: łożka. Szerokie, dębowe łożka. Tu człowiek się modli inaczej, niż w nikczemnej, przyrodznej brudzie, co wówczas gdy usnąć w niej przyjdzie, grobem się staje. „Panie Boże, — jak chcesz!” W łożku, modlitwy są krótsze. Ale serdeczniejsze.

Ciemno jest w izbie i na wieży. Lecz oni śmiechem oświecają sobie twarze. Omackiem, jak ślepy, nawzajem się szukają i jak ręką w ciemności drzwci, tak oni siebie znajdują. Przyskakują się k'sobie niby dzieci, co noęy się lekają. On nie pyta: „Twój mąż?” Ona nie pyta: „Twoje imię?” Przecież po to się znaleźli, by sobie nowym być rodzajem: Sto nowych imion dawać sobie będą i zdejmować je z siebie cicho, jak koleczyk się z ucha zdejmuje.

W przedsiönku, rzucona na krzesło kurta, bandolet i płaszcz pana na Langenau. Na podłodze rękawice. Przy oknie sterczy o framugę oparta chorągiew. Czarna jest i smukła. Blask księżycza przechodzi jak długa błyskawica, na chorągwi niespokojne się kładą cienie. Śni.

Czy to już ranek? Jakiz to święci dzień? Jakże ogromne jest słońce! Czyżby to ptaki? wszędzie ich śpiew. Jaśnieje wszystko, lecz to nie dzień. Rozgłośnie wszystko, lecz to nie ptaków śpiew. Krokwie to są, co się palą. To okna, z których krzyk, ten krzyk płomienną plynie falą i w nieprzyjaciół tłuszcę pada krzyk: Góre! Zdrada! Z twarzami z których nie zszedł sen, na wpyły zbrojni, nadzy, wpeł od izby w izbę gonią — w dół — szukając schodów. A gdzieś od podwarcowych błön sygnał trąbki: Za broń, za broń! I kółujące bębny.

Niema sztandaru — gdzie znikł? wołania: kornet! Konie się ploszą, modlitwy, krzyk: kłątwy: kornet! — Sygnały, rozkaz, żelaza zgrzyt; Cisza: kornet! Jeszcze raz: kornet! I rozszalałe w bój idą kolumny. — — Nie wiedzie ich chorągwi powiew dumny.

Nawpół oszalały przebiega przez dżonki i ląd w krzużanki, od których płomienie w twarz biją, a od gędy głośnie trzeszcza

pod stopami. Wybiega z płonącego domu. W dłoniach sztandar mocno niesie, jakby omdlałą kobietę, białą. Dopada konia, mija jak krzyk, jak orzeł przelata, przebiega w mig nawet swoich. Oto chorągiew znów ożyła i nigdy jeszcze tak władną nie była: oto go wszyscy widzą na przedzie, jak jasny, bez helmu, chorągiew swą wiedzie i sztandar poznaje swój... Sztandar zaś olśniewający uderza blask, potężnie i dziwną świeci czerwinią... Oto chorągiew ich plonie wśród wrogów, a oni pędzą z nią naprzód i naprzód.

Pan na Langenau wjechał w głąb nieprzyjacielskich kolumn. Strach kołisko puste wokół niego zatoczył, a on tkwi w nim pod swoją, powoli się spalającą chorągwią. Zwolna, prawie z rozwągą rozgląda się dookola. Coś — co jest nieznanne, wielobarwne. Ogrody — myśli i uśmiecha się. Wtem czuje, że spoczywają oczy jakieś na nim, poznaje ludzi i wie, że to po-gańskie są psy: — więc wpada koniem w ich środek. Lecz, gdy go dookola objęli, znowu mu widzą się ogrody, a tych szesnaście krzywych szabel co błysły w słońcu i ku niemu się skierowały, to ucztą. Roześmiany wodotrysk.

Na zamku spłonęła kurtka, list i płatek róży nieznannej damy.

W następną wiosnę wjeżdżał powoli na zamek w Lange-nau kurjer barona Pirovano.

Tam widział jak siwowłosa pani płakała.

Czytając te wiersze proste a treściwe, owiane czarującą poezją rycerskich czasów średniowiecza a przemawiające tak bezpośrednio do duszy, nie można się oprzeć wzruszeniu, jakiemuś przedziwnemu sentymentowi, który z każdego fragmentu wie i mimo swych krótkich, subtelnie uchwyconych a tak pięknie wyrażonych powiedzeń, tak wyraziście i wypukle stawia nam cały szereg barwnych obrazów przed oczy, że wspólnie z młodym rycerzem przeżywamy pochod pancernego oddziału, przesuwać się przed oczyma jego rzewne opowieści, tęsknoty, wzruszenia przy otrzymaniu awansu na korneta, postój w przepychu zamku, ucztą i noc pierwszych w życiu doznanych szalów miłosnych, strasne przebudzenie i wreszcie śmierć bohatera. Przekład znakomity. Autor jego ani słowa nie uronił z bogatego kalejdoskopu poematu, odtwarzając wiernie, subtelnie i z głękołkiem uczuciem bogate misterja utworu. Otóż poezja prawdziwa, przekład artystyczny! Utwór ten gorąco polecamy baczej naszych czytelników uwadze.

Nowina.

### SZLAKIEM DUSZY POLSKIEJ!)

Coś się zbudziło, zadzwoniło w twórcy „Synów Ziemi”, zawrzało jak w gaju i obłoku natchnień sypią się perły pióra, książki, broszury, uwagi, zwy i zachwyty i ponad wszystko wzywe nad miarę szerokie, wize o Polsce, powrocie do niej, piący dla niej, śmierci dla niej, niewysłowionego dla niej uczucia. Gdy się rzeczy te czyta, stają przed oczyma wieszcowie-wy-gańcy, uczestnicy Wyjścia z egipczyz, po pełnym nędzy i sławy pogromie dwa pokolenia temu, stają przed oczyma ich tęsknoty, szamotania się i pędy do kraju: tajnie i jawnie, prawem i lewem, wszystkimi szlakami wracała dusza rodzima do ziemi rodzimej — tak wraca i dusza autora „Dzieci Nędzy” i wyspiewuje hymn o życiu polskiem i pieśni polskiej.

) Stanisław Przybyszewski: Szlakiem Duszy Polskiej, Poznań, nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” 1917.

Jakież gorące tony znalazły w ustach Przybyszewskiego wszystkie potężne twory uczucia i myśli naszej! wszystkie prometejskie, nadludzkie wysiłki sięgania w wieczność! kuszenia się o czyny podniebne! wszystkie hardość i gorność polskiej natury i jej amulek bezbrzeżny, rozlewny, ukoiny li tylko w pełni swobody, której brak o bluźnierstwa na Boga ją przyprawia!

Jak bicz skorpionów zaś, chrzest ciosów płomienny, padł na całe cherlactwo narodowe, na miserna, ubożuchną w ducha cianotę, na tęgą bezmyśl episyerów, ich ust się pienienie i ślinę oplwaw wszystkiego, co godne i wzniosłe i wielkie i wolne, na parafian mazyżnę, zaściankowość i zaplebanianie obakurne, modliwa na Boga! u nas jedynie, na cały ten szczep robactw, kłapię hańby mrowie, padł z ust autora potok oburzenia, sądu i wyrok zatraty. Wypoliczkował, zdeptał stopą, stawil pod pregierz Przybyszewski miernotę, kłótkowidztwo, nierozum krytyk, przetrach odrożeń, wężenie zgorzań, miłość w oszczerstwie itd. itd. wszystkie jędze, element ciemny i zły w naszym bytowaniu i w naszym tworzeniu, wstrętną małość w ujęciu prawd wiecznych, które pielęgnuje na lonie swem matka odwieczna, surowa naga Sztuka, opowita omgła zagadnieć leżącej w górę ludzkości.

Ciężkie — me hercule! — skargil gorzkie żązuty, jadem służności zaprawne wymówki! Lecz ile i otuchy! jaka bijąca nowa jaśń! jutrznie grające święto, zew świeży poranku! Nieodrodna ci ziemia jest nasza!

Oto, gdy fure wojny tratują glob, kąt nasz rodzinny skupia się, zbiera, sprząta, udziela, sypie grosz na cele prze-zbożne, jak obrzym do pracy się zrywa, do pracy nad myślą polską, nad wykładczynią jej, sztuką, podejmuje wydawnictwa, zakłada pisma, bije drogę dla dzieł i artystów — tym to obrazem ukochanej wielkopolskiej ziemi uradowała się i rozdziwniła dusza twórcy „Synów Ziemi“. Cieszy się syn matce swej ziemi, cieszy jej dziećmi, do nich się zwraca, wielkopolskiej młodzieży akademickiej poświęca w broszurze „Poznań ostoją myśli polskiej“ swą pracę i staje w jej rzędzie do rady i czynu.

Uszyliśmy głos twój, my, młode pokolenie, jak jeden mąż przy twym stajemy ramieniu, słowa żywota wieścisz nam.

Stan. Skorupka.

## U POETÓW.

Późno zaliczono Fryderyka Hebbła (1813—1863) do arystokracji literackiej. Nastrój bojowy, harda pewność siebie, upodobanie silnych akcentów groteskowych, stawianie zawiłych problemów etycznych, które na swój sposób śmiało w swych dramatach rozwiązać próbuje, wszelkie wybitne te właściwości wielkiego twórcy dramatów „Maria Magdalena“, „Herodes u. Mariamne“, „Michel Angelo“, „Cyges u. sein Ring“ i potężnej trylogii „Die Nibelungen“ usposobiły wrogo ku niemu publiczność, nakładców i dyrektorów teatrów, wtrąciły go w odmetę walki, którą sam określił jako „konflikt niesłusznych praw i norm z swobodnym rozwojem indywidualności“. O ile twórczość dramatyczna Hebbła ma wyraźną fizyognomię zmagania prometejskich, o tyle rzadko spotykamy pierwiastki te w ulotnych i drobnych jego wierszach, które w wielkiej mierze zdradzają wyraźny wpływ Schillera, Uhlanda, Chamissa, Heinego i Platena. Do najbardziej charakterystycznych wierszy zaliczamy te, które Miriam nam daje w swym przekładzie. Talent wybitnie dramatyczny wypowiedział się najdoskonalej w potężnych tragediach, które pod względem dosadniej charakterystyki osób przewyższają twory Schillera. Bezwzględnie szczerzy, nie znając kompromisów, nie umiając i nie chcąc nagiąć się do upodoba-

nych współczesnych, daje charakterystyczną odprawę tym, którzy mu proponowali, by dokończył rozpoczęte dzieło Schillera „Demetrius“: „Es ist, als sollte ich dort fortfahren zu lieben, wo ein andere aufgehört hat“.

Późno, zbyt późno doczekał się uznania. Na tożu śmierci doszła go wiadomość, że za trylogię „Die Nibelungen“ przyznano mu nagrodę im. Schillera. Wtedy to z bolesną ironią rzucił ostatnie słowa: „So ist's im Leben: mal fehlt uns der Becker, mal fehlt uns der Wein“.

Bywało, że nawet w Poznaniu pojawiały się krytyki „krytyk“ z naszych wystaw. Uśmierzyły też niewątpliwie szkodnictwo krytycznych gadanin, ale nie zdolały go dotąd oszkebić do tej miary, żeby można „krytyki“ te pominąć milczeniem.

Gazety nasze zadawalniać się muszą niestety recenzjami jakimikolwiek, nie chcąc porzucić na krótkich doniesieniach o otwarciu naszych wystaw; nie mają bowiem zgola odpowiednich współpracowników artystycznych.

Mierny obraz wywieszony na widok publiczny jest mniej szkodliwy, niż mierna krytyka tegoż obrazu. Brak krytyk byłby daleko pożądanzy, niż te, które pojawiają się u nas.

To też nie możemy nie zwracać uwagi na owe lekko-myślnie felietony, które starają się „osądzać“ wystawione dzieła; nie możemy milczeć, gdy widzimy, że ktokolwiek, który do tego poczuje ochotę, wprowadza w błąd tych, którzy pragnęliby szczerze w ocenach doszukać się pewnej pomocy w odnajdywaniu wartości dzieł sztuki, którzy do sztuki chcą się zbliżyć wewnętrznje.

Z żalem więc stwierdzić musimy, iż niemal z każdym pojawieniem się „krytyki“ z naszych wystaw, sztuka sama znajduje nowych okaleczeń, nowej poniewierki.

Daremnie szukamy przebylsków jakiegokolwiek znajomości i opanowania tematu, jakiegokolwiek powiązania wierzeniowego poszczególnych zdań, daremnie pływka ukochania sztuki. Za to litanie bezbarwnych komunałów i nie nie mówiących, zdawkowych frazesów, sprzeczności, chęć osądzenia bezapelacyjnego, jadowite apostrofy lub salonowe komplementy — wszystko to składa się na ogólny chaos.

Dajcie nam dwóch, trzech, którzy z odcucia i poznania umiłowali sztukę i z tą miłością pisać będą krytyki — a zamilkniemy, bo głos ich przygłoszy gadanie naszych przygłoszy krytyków.

Puścmy w niepamięć wszystkie te niezliczone głuhatwa, które w ostatnich latach napisano o sztuce w krytykach naszych, a zapytajmy dziś, co sobie taki krytyk myśli, kiedy, opisując na ogół słabą bardzo słabą wystawę, na czele hymny pochwalne głosi z powodu „urozmaicenia“ wystawy i kończy swie unieście-nie wykrzyknikiem: „varietas delectat“ — powiedzmy: „Variété macht lustig...“ a recenzję swą kończy tryumfalnym okrzykiem z powodu powodzenia wystawy, która już 36 obrazów spieniężyła...

Oto założenie i konkluzja krytyki!

Jakże wygląda krytyka sama?

Na czoło wysuwa recenzent obrazy dwóch malarzy, których nietylko mógł, ale powinien był pominąć milczeniem: Unierzyckiego i Stachewicza. Ale, o dziwo! — pominął cztery dzieła — Jacka Malczewskiego. Co skłoniło bezimiennego krytyka do takiego uchwycenia i zaobserwowania tematu — nie wiemy i nie będziemy dłużej się nad tem zastanawiali. Również możemy tu pominąć ubogi dykcyonarz artystycznych określeń, powtarzających się do znudzenia a dźwięczących przeraźliwie pustą, a przejdźmy raczej do istotnej — ada się nieuleczalnej choroby,

która toczy organizm „krytyków” naszych i rozszerza się niestety na szerokie koła naszej publiczności. Czytamy:

„Jak wybitnie naszym polskim malarzem jest Stachiewicz, o tem wciąż nas przekonuje jego twórczość artystyczna. Już sam fakt, że rozumie tak doskonale tętna duszy polskiej, że jego to interesuje, co nas jako Polaków żywo obchodzić musi, czyni go nam bardzo bliskim, i tak Stachiewicz doskonale umie malować, co w głębi duszy naszej żyje, jego Głowacki, jego ksiądz Kordecki są wierne portretami wizji naszej duszy, Widocznie artysta pojmuje sztukę tak, jak ją pojmowały u nas jednostki najwybitniejsze, jako misję narodową. W jego linii jest ciepło i rytm duszy polskiej, nasza czułość, fantazja i nasz animusz ryceraki..

Jeżeli wogóle odpowiedzieć mamy na tę „swojszczyznę”, która nawet z punktu widzenia „narodowego” nad wyraz jest bałamutną i obniżającą wartość uczuć narodowych, skoro te uczucia wyraz swój znaleźć mają w obrazkach Stachiewicza, to stwierdzić musimy (choć tem zdziwienie, może oburzenie u naszych czcicieli „swojszczyznę” wywołamy), że Stachiewicz ani „wybitnie polskim” nie jest, ani „rozumie tętna duszy polskiej”, ani „malować umie doskonale, co w głębi duszy naszej żyje”.

Stachiewicz maluje obrazki, mogące stwierdzić w najlepszym razie to, co na wierzchu jest naszej duszy, to czem się chwalamy i co nam dogadza, czem się rozkoszować możemy jak ciastkiem lub pomadką. W wnętrzu duszy Polaka wgrzył się Wyspiański, Chelmonski, Malczewski i inni, nigdy zaś Stachiewicz. Taniem byłoby uczucie narodowe Polaka, gdyby je tani artysta w całej wyrażał pełni, zbyt małe, aby się mieściło w małych dziełach. Temat sam nic nie mówi, ale twórczy wyraz artysty, głębia jego interpretacji.

Nikle jest uczucie, które zadawalnia się duchową strawą podobnych utworów i uczucie, które swęj wygodnej codzienności usłużną chce uczynić odwieczną sztukę. Nikle uczuciem sięgając nasze „jednostki najwybitniejsze” pojmuje się ich wielkość w „swojszczyźnie”, sztukę zaś „jako misję narodową”.

Zły doradca publiczności naszej, przygodny dziennikarski „krytyk” szerzy dwa zła jednym powiedzeniem: zamula głębię uczuć narodowych, chcąc ukazać taniem sposobem ogółowi dno narodowej duszy, i równocześnie przystawia sztukę w konfederatkę, w pawie piórka, w chorągiewki, tak jak purytanin przyodzabia posąg w liść figowy — i taką upatrzoną, okolkardzoną, urogatkowaną sztukę umieszcza na piedestale „swojskiego gnojnika”.

Oto misya narodowej sztuki!

J. H.

## Szanownym Czytelnikom „Zdroju”

zwracamy uwagę na piętrzące się trudności wydawnicze spowodowane warunkami wojennymi.

Nie możemy niestety usunąć niedomagań zwłaszcza w dziedzinie reprodukcji a wszelkie starania nasze okazały się bezowocnymi. Dla tego jesteśmy zmuszeni ryciny nasze ograniczyć, nie chcąc przyodzabiać pisma rycinami złe wykonanemi.

Te i im podobne braki zechcą więc czytelnicy wybaczyć, uwzględniając wyjątkowe, od wydawców nie zależne warunki.

Z dnia na dzień wzrastające kosztta wydawnicze zmuszają nas również do podwyższenia ceny pojedynczego zeszytu do 3 mk.

**Cena abonamentu rocznego pozostaje niezmienną.** Z dniem 1-go kwietnia 1918 r. abonament półroczny wynosić będzie 25 marek, kwartalny 14 marek.

ADMINISTRACJA „ZDROJU.”

# „Ostoja“ Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, plac Wilhelmowski 17  
poleca swe wydawnictwa:

**J. Kasprowicz:**

Siba, Indyjki hymn miłości . . . . . 5<sup>20</sup>

**T. Konczyński:**

Raj odzyskany . . . . . 5<sup>40</sup>

**A. Nowaczyński:**

Polaski w Ameryce . . . . . 6<sup>50</sup>



**Teodor Tyc:**

Facecje z dawnej Polski . . . . . 3<sup>80</sup>

**Ks. Szydelski:**

Kult ogniska domowego i przodków 1<sup>00</sup>

**Bernard Chrzanowski:**

Z wybrzeża i o wybrzeżu . . . . . 2<sup>00</sup>

**Wiktor Gomulicki:**

Pamiętki Kościuszkowskie . . . . . 4.80 mk.

Skład główny na Król. Polskie w Warszawie **Gebethner & Wolff.** Skład główny na Galicyę w Krakowie **Gebethner i Spółka.**

Stare

## wina węgierskie

szlachetne krescencje magnackie i nadworne  
w 1/2 butelkach i w 1/2 gąsiorkach.

- |                     |                         |
|---------------------|-------------------------|
| 1) rocznik 1889 nr. | 8. Stary Tokaj.         |
| 2) " 1880 "         | 22. Stary lekki Tokaj   |
| 3) " 1901 "         | 10. Stary lekki Tokaj   |
| 4) " " "            | 4. Stary słodki Tokaj   |
| 5) " 1876 "         | 3. Stary Tokaj nadw.    |
| 6) " 1876 "         | 14. Stary Tokaj nadw.   |
| 7) " 1883 "         | 19. Stary Tokaj         |
| 8) " 1863 "         | 17. Stary Tokaj nadw.   |
| 9) " 1886 "         | 18. Słodkawy Tokaj      |
| 10) " 1848 "        | 20. Słodki Tokaj        |
| 11) " 1888 "        | 20a Lekki słodki Tokaj. |

**B. Kasprowicz**  
w Gnieźnie.

## Nowości zimowe

Kostiumy . . . . .	od 30 do	550 M.
Spódnice . . . . .	15 "	190 "
Ulstry . . . . .	38 "	360 "
Paletoty aksam. i plusz. . . . .	90 "	1200 "
Suknie . . . . .	60 "	300 "
Bluzki . . . . .	18 "	100 "
Halki . . . . .	12 "	80 "

Płaszczki futrzane, Futra sportowe od 200 do 2000 M.  
Garnitury futrzane od 60 do 1400 M.

## M. MABINOWSKI

Najwięk. specjalny magazyn okryć damskich  
Poznań, Stary Rynek 57, parter i I piętr.

# S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pań		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Kołnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Halki	Kołnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole
  <b>TOWARY KRÓTKIE</b> — <b>KORONKI</b> — <b>WSTAŻKI.</b>  					

## W. MIZGALSKI Poznań - Bazar

Magazyn bławatów, konfekcyi damskiej i futer  
poleca na sezon zimowy

Gotowe futra  
„ garnitury futrzane  
„ płaszcze  
„ kostiumy  
„ suknie  
„ szlafroczyki  
„ bluzki  
„ czapki sealowe

### Własne pracownie

skunksy, seal bisam, opossum, bobry, nutria,  
karakuły, zrebce, popielice, bielistki, chinchilla,  
gronostaje, sobole, nurki, tomaki, wilki, lisy  
białe, patagońskie, mongolskie etc. w wielkim wyborze

## ATELIER REMBRANDT

właśc. S. Dobska

### Zakład fotografii artystycznej

Tel. 5430

Poznań, ulica Berlińska 4

Tel. 5430

## Fortepiany, pianina i harmonia.

Jak wiadomo, tylko fabrykаты pierwszorzędne,  
także Bechsteina, Berdixa, Steinwaga, Schledmayera, Ninkla, Norügla, Burgera itd.

**Karol Ecke** w Poznaniu, ul. Wiktorji 19  
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

